CENA ZŁ 20

Czapek, Hwiezdosław, Wolker

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW
KATOWICE

CZYTELNIK

NUMER 10 (172)
KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 27 MARCA 1949 ROKU
ROK V

SOPOT
ul.Czerwonej Armii 101
Wyższa Szkoła Handlu
Morskiego Biblioteka

KRYSTYNA WRYCZAN

Rewolucjoniści

We Francji element drobnomieszczański, do którego należy zaliczyć również chłopów, jako małych właścicieli, ma dotąd liczebną przewagę nad robotniczym proletariatem. Te dwie warstwy, klasa robotnicza i drobnomieszczaństwo, stanowią główny trzon narodu, jego żywą masę. To są ci widoczni, ci z którymi przyjezdny cudzoziemiec styka się w życiu codziennym. Inne warstwy — kapitaliści, feudalni epigonowie — z racji swej słabej liczebności, a może też z powodu kosmopolitycznego swego charakteru, nie rzucają się w oczy przyjezdnemu, który widzi wszędzie tylko tamtych. Nie potrzeba jednak dużego sprytu, by przekonać się wkrótce, że właśnie ci niewidoczni, za parawanem narodu, trzymają w swym ukryciu wszystkie sprężyny państwowego mechanizmu, rozporządzają funduszami ku akcji propagandowej, wznoszą hurra-patriotyczne hasła, wysuwają jednych (RPF), spychają innych (komunistów), rządzą się jak szare gęsi, gmatwając obraz prawdziwej Francji.

Ci dwaj, drobnomieszczanin i robotnik, są bardzo różni, tak jak odmienne są ich warunki ekonomiczne. Istnieją jednak wspólne im cechy, tym silniejsze, że obie te warstwy narodowe nie zamykają się w sztucznej niedostępności, mogą się wzajemnie przenikać i na siebie oddziaływać. Trudno w następstwie ustalić, po której stronie leży pierwotne źródło francuskiej specyficzności, tego konglomeratu wszystkiego ze wszystkim. Indywidualizm, towarzyskość, intelektualne skłonności, wysoki poziom kultury kolektywno-społecznej — są to wszystko cechy ogólnonarodowe, które mieliśmy już okazję stwierdzić.

W galijskiej więc atmosferze wyrobił się także robotniczy element społeczny, który jest nadzieją dzisiejszej Francji. Posiada on wszystkie cechy, które są znamieniem klasy tej w ogóle, a którym francuska przyprawa nadała specyficzne napięcie.

Klasa robotnicza na całym świecie przoduje swą zdolnością do czynu. Jej uspołecznienie, zdolność do współdziałania, samokarność, poczucie ładu zbiorowego, przypisuje prof. Krzywicki, świetny jej znawca, warunkom pracy w obecnej fazie techniki wielkoprzemysłowej. „Należy wyczuć — powiada on — wpływy idące od fabryki, a więc od faktu, iż ze stanowiska technicznego fabryka tworzy jedność organiczną, iż w poszczególnym okazie produktu zakrzepnięta jest praca setek rąk roboczych, wykonywających każda inną czynność, a w dalszym ciągu od rozbrzemiewającego tętnem zbiorowości środowiska pracy, a nawet od całego otoczenia fabryki z jej atmosferą wszechwładzy człowieka nad materią“. (Krzywicki: Wstęp do historii ruchów społecznych“.)

Klasa robotnicza jest par excellence postępową, skłonną do ciągłego udoskonalania i ponawiania. Konsekwencja to fabrycznego otoczenia, gdzie robotnik przyzwyczaił się do wciąż zmieniających się wzorów techniki i gdzie przesiąkł poglądami, iż w życiu społecznym, tak jak w technice wszystko płynie, przekształca się i przeinacza.

Krzywicki wskazuje wreszcie na rys junactwa, właściwy klasie robotniczej. „Każdy okres dziejowy — powiada on — posiada swoją warstwę bohaterską, która obficiej niż inne wydaje mężów gotowych do poświęceń na rzecz swoich ideałów. Taką warstwą junacką było dawniej rycerstwo, wychowane w poczuciu honoru rycerskiego, głoszącego, iż umiera się na polu walki, ale się z niego nie pierzcha. Dzisiaj fabryka zaczyna na wielką skalę wytwarzać typy junackie“. Robotnik w kontakcie z maszyną, jest bowiem więcej narażony niż ktokolwiek inny na niebezpieczeństwo, kalectwa lub śmierci, a statystyka rok rocznie notuje nieszczęśliwe wypadki. Dlatego robotnicza klasa jest na całym świecie bojowym oddziałem rezerwy pragnących pokoju, jest „pokojem zbrojnym“, gotowym do wydania wojny wojnie, jest tym, który nie dopuszcza do „trzeciej wojny“, o jakiej marzy reakcja.

Taką jest też klasa robotnicza we Francji. Ona tylko, stanowiąc w Europie Zachodniej najpoważniejszy bastion oporu, jest zdolna do skutecznego przeciwstawienia się zbrodni świata, która zawładnęła również Francją. Klasa robotnicza jest więc francuskim bohaterem a partia komunistyczna, reprezentująca jej ideologię, jest partią narodowego odrodzenia. Ona głownie podczas okupacji podjęła bezkompromisową walkę z najeźdźcą, a dziś grupuje wokół siebie patriotów, w pełni świadomych, że wszyscy inni podszywający się pod to miano, w razie konfliktu między interesem narodowym a klasowym, wybiorą zawsze to drugie. Dowodem tego jest głośny skandal w Vercor, rzucający na de Gaulle'a i jego otoczenie cień, którego nic zmazać nie może. W 1943 — 1944 (listopad — styczeń) partyzanci w Vercor, w olbrzymim niebezpieczeństwie chcąc utrzymać ważne strategiczne pozycje, zwrócili się do de Gaulle'a o broń. Lecz generał pomocy im nie udzielił.

Tak więc francuska partia komunistyczna, która broniła kraju prawie sama, jest synonimem patriotyzmu, spadkobiercą rewolucjonistów 1789—1793, zwanych też „les patriotes“. Wiedzą o tym francuscy patrioci i dali temu wyraz w ostatnich wyborach, gdy na partię komunistyczną, liczącą 1 milion aktywnych działaczy, padło 5 milionów głosów, t. j. 33% wszystkich głosujących. A więc nie sami komuniści i nie sami robotnicy rozumieją, że komunizm reprezentuje dla narodu jego odrodzenie, a dla ludzkości zagrożonej zagładą wojen — jej ratunek. Cały świat jest więc z francuskim narodem, jak naród francuski jest z całym światem.

Do elementów bojowych, rewolucyjnych, stanowiących bohaterski odłam narodu, zaliczają się ludzie obdarzeni nie tylko odwagą, lecz mający ponadto wysoce rozwiniętą świadomość, nie zacmioną żadnym półkłamstwem, żadnym kompromisem intelektualnej nielojalności. Bez tej cechy człowiek może być dzielnym, może być energicznym zabijaką, ale nie bohaterem. Ten zaś odłam stanowi w narodzie zawsze tylko mniejszość. Tak jest też z milionem członków Komunistycznej Partii we Francji.

Choć pociąga ona za sobą tak licznych sympatyków, to jednak szeregi jej nie są liczebnie zbyt wypełnione. Zadziwia ona natomiast tym, co jest specyficzną cechą Francuzów, a mianowicie wysoką klasą swego rozwoju umysłowego. Kadry partii, pierwszorzędnej jakości, umieją zjednywać zwolenników w narodzie, gdzie każdy niemal jest potrochu myślicielem.

Swoisty indywidualizm francuski wprowadził przy tym omawiane już przez nas obyczaje, gdzie równościowość stosunków międzyludzkich godna jest bezklasowego społeczeństwa przyszłości. Ogromne ma to znaczenie w środowiskach robotniczych, gotowych do usunięcia przestarzałego systemu autorytetów, a wprowadzenia systemu pracy, opartego o kolektywną samokontrolę. System ten uaktywnia masy pracujące od dołu do góry, wyzwala inicjatywę i zwiększa przez to wytwórczość. Metodyczność w samodzielnym organizowaniu pracy, w czym Francuzi, a szczególnie paryżanie celują, tłumaczy zdumiewający fakt, że mają oni na wszystko zawsze czas: praca zarobkowa i społeczna, lektura, rozrywka, samokształcenie. „Boire un coup, fumer un coup, donner un coup“, powiada francuski robotnik wychyli łyk dobrego wina, który go nie zbija z nóg, pociągnie papierosa, po czym, gwiżdżąc i śpiewając, da swym narzędziem takie uderzenie, że mu w tym nikt nie dorówna. Samodzielna ta metodyczność jest cenniejsza od hierarchicznego podporządkowania dyscyplinie, która dla Francuza, wolnego i świadomego obywatela, jest rażąco niewłaściwa. On słucha swego szefa nie dlatego, że to szef i że to rozkaz („Befehl ist Befehl“). Posłuchałby tak samo, gdyby mu to zakomunikował anonimowy megafon w tym celu tu ustawiony, a to dlatego, że zna on zasadę podziału pracy i wzajemnej współzależności wszystkich robotników wytwórców. System kolektywnej samokontroli usuwa rozkładową atmosferę wyścigu domorosłych „imperializmów“, gdzie dzielniejszy, o większych możliwościach, nie dopuszczając do równomiernego rozwoju wszystkich innych sił, narzuca się mniej dzielnemu i tłumi mniejsze jego możliwości. Lecz wyzwolenie klasy robotniczej polega nie tylko na wprowadzeniu na odpowiedzialne stanowiska świeżych elementów proletariackich, ale również na racjonalnym uruchomieniu nisko startujących. Zadanie to Francuska Partia Komunistyczna rozwiązała pierwszorzędnie. Panujący w niej braterski duch porywa wszystkich jednakowo i nie ma tu członków nieaktywnych w odróżnieniu od aktywnych.

Korzyści kolektywistycznej metody pracy (w przeciwieństwie do autorytatywnej) wypróbował już proletariat francuski podczas Komuny Paryskiej 1871 r. Pokazał wówczas, że na najniższym nawet szczeblu, każdy umie się rządzić sam. Marx, z ogromnym entuzjazmem wyraża się o tym świetnie zdanym egzaminie. Był to proletariat, ale był to też francuski proletariat, jako ten, który osiągnął w swej ewolucji bardzo wysoki już szczebel.

Zadziwiającą była wówczas szybkość i sprawność aparatu administracyjnego. W okresie najostrzejszych walk potrafili utrzymać komunikację pocztową, regularnie funkcjonującą między Paryżem a prowincjami. Nie dopisali natomiast na odcinku militarnym i musieli się zwrócić do polskich swych kompanów. Dowództwo wojskowe objął generał Jarosław Dąbrowski.

Obecnie daje się we znaki ciężkość biurokratyczna francuskiej administracji państwowej. Ramy jej bowiem nie są dopasowane do żywiołu, który zamykają, jak garnitur uszyty nie podług talii. Pomijając jednak właściwą przyczynę całego we Francji zła, elementy wsteczne chętnie rozpuszczają zjadliwe języki, nie mogąc darować narodowi francuskiemu, że jest sobą. Mielą więc w bezzębnych ustach, skarżąc się na jego „brak dyscypliny“, na jego tzw. „zgniliznę“. Tymczasem to, co jest brakiem w jednym systemie, (w biurokratycznym mianowicie), zaletą może być w innym. Przegniła we Francji jest jej rama, za ciasny ma garnitur dla swej wybujałej talii.

Te same usta starcze, którym Francja nie w smak, oblizują się schodząc na niemiecki tor. „Jaka karność, dyscyplina, organizacja!“ powtarzają w kółko litanię, jakby to była jedyna wartość ludzkości, jakby się w ogóle nic już poza tym nie liczyło: ani ciekawość, matka wynalazków, ani spostrzegawczość, źródło inwencji praktycznej, — nic, jak tylko: „karność, dyscyplina, organizacja“.

W pracy, w konstruktywnym budownictwie, dyscyplinę zastąpić może z ogromną nadwyżką samodzielna metodyczność. Lecz ci, którzy liczą na „trzecią wojnę“, rozpylają w powietrzu bakterie fermentów, na których żerują. Wiadomo, że w działaniu czysto militarnym, gdzie człowiek staje się raczej żywiołem, a mało który jest bohaterem świadomym sensu swej walki, władającym w pełni swym człowieczeństwem — dyscyplina okazuje się złem koniecznym, niezbędną namiastką. To wszystko wiadomo i dość już biadolenia z powodu braku dyscypliny, która uczyniła by Francuzów lepszymi żołnierzami. Mniej znaną i nie dość komentowaną jest natomiast groza losu społeczeństwa, jednolitego w swej dyscyplinie, które przez to stało się podobnie, jak niemieckie, wygodnym narzędziem obcej przemocy! Ta sama przemoc, chcąc narzucić się Francji, kieruje ją na niemiecki ład a na wszelkie niedomagania podaje radykalny sposób, uniwersalny „catholicon“: de Gaulle na czele R. P. F. jak Hitler na czele Nazi. Próżne jednak są te podrygi. Francja jest narodem łacińskim, gdzie faszyzm głębokich korzeni nigdy nie zapuści. Dowodem tego jest inny naród łaciński — Włochy. Dyktatura faszystowska, w ciągu 20 lat swych rządów, nie potrafiła tu przerobić narodu włoskiego w zamierzonym przez siebie kierunku, a wpływy jego pozostały czysto powierzchowne. 33% ludności opowiedziało się w ostatnich wyborach włoskich po stronie demokracji, a głosy te byłyby dużo liczniejsze, gdyby nie postrach Watykanu.

Pesymista, wątpiący w przyszłość rodzaju ludzkiego, powinien przyjechać do Paryża na dzień 14 lipca, święto francuskich patriotów. Idą oni ulicami potężną lawiną, nie maszerując, bo nic nie zmusi Francuza by szedł w takt. Chodzą swobodnie, tu i tam, — każdy sam sobie, a wszyscy razem. Ściągnięte muskuły twarzy, błyszczące inteligencją spojrzenia odtwarzają to, co czują i co myślą. Rozumieją sens swej manifestacji. Marsylianka zlewa się z Międzynarodówką. Obserwator przerzuca się mimowolną asocjacją ku wojnom rewolucyjnym 1792 r., które choć wypowiedziane przez żyrondystów, wygrane zostały przez Jakobinów. Carnot, Jakobin, ówczesny minister wojny, wprowadził nieznaną przed tym taktykę. Zamiast walki równym szeregiem uderzył on zbitą masą „niezdyscyplinowanych“ sansculottów, źle uzbrojonych i źle umundurowanych, hurmem! W niemieckie manekiny, ustawione pod równy sznurek. Tak przebili oni szeregi austriacko-pruskich wojsk, odnosząc pod Valmy, Jemappes itd. wiekopomne zwycięstwo rewolucyjnego ducha. Niedoskonały człowiek więcej bowiem wart od doskonałej maszyny.

Pierwszorzędnych ma więc Francja bohaterów, a że są oni w mniejszości, to rzecz normalna. Natomiast, kto we Francji nie jest bohaterem, ten jest w niej tchórzem. Są tu oni w wielkiej ilości, brak bowiem Francuzom dzielności, energii pośrednich między bohaterem a tchórzem form. Podkreślając, że tchórzostwo nie pokrywa się tu z nikczemnością, odsyłamy do psychologii francuskiego drobnomieszczanina, do jego domatorstwa, gallijskiej łagodności, braku cwaniactwa, specyficznej nieporadności, tym większej im dalej odbiegł on od wzoru człowieka prymitywnego. Rzadko trafia się we Francji zawadiaka (chyba, że przybiera on groteskową postać: Tartarin de Tarascon), rzadko kiedy dzielność panoszy się jak kura na domowej grzędzie. Z dodatkiem bowiem francuskiego intelektu i psychologicznej głębi, dzielność przestaje być sobą; ona staje się bohaterstwem.

Bohaterowie i tchórze. Tej parze przeciwieństw odpowiada statystyka z ostatnich wyborów, gdzie na komunistów padło 33% głosów. Nie otrzymali oni większości, tym niemniej uzyskany procent zwolenników jest bardzo liczny i upoważnia do mówienia o „skomunizowaniu“ Francji, co w ustach międzynarodowych zbrodniarzy oraz świadomie lub nieświadomie podporządkowanych im czynników, brzmi tak, jak „zdemoralizowanie“ Francji (niezwykłych zaiste obrońców posiada „moralność“!).

Partia komunistyczna jest we Francji najpotężniejszym stronnictwem, a jeśli pozostałe ugrupowania, o mniej rozległych wpływach stanowią jednak większość, to dlatego, że łączą się razem, w jednym bloku kapitalizmu. Komuniści zostali izolowani, gdyż drobnomieszczańska partia socjalistyczna, mając kierownictwo wyraźnie nieszczere, nie utworzyła z komunistami demokratycznego frontu, jak to się stało we Włoszech. Sytuację tę należy jednak przypisać zdradzie kierowniczych elementów, nie zaś dołom partyjnym. Jeśli reakcja wykazuje obecnie we Francji tyle wigoru, to decyduje o tym nie naród, daleko posunięty w lewicowości, lecz czynniki uboczne, a niefortunne położenie geograficzne, umożliwiające w każdej chwili obcą interwencję zza oceanu, to jedna z poważniejszych przeszkód. Jest to błędne koło, które przełamać zdołają chyba tylko bohaterzy.

KRYSTYNA WRYCZAN

W kręgu zbrodni

Zaszły niepokojące wypadki, na ławach oskarżonych znaleźli się ludzie w sutannach. Oskarżeni oni zostali za pospolite przestępstwa natury politycznej i kryminalno-politycznej, jak współudział w zamordowaniu człowieka, reprezentującego inny pogląd polityczny, niż ośrodek dyspozycyjny zbrodni, oraz udzielenie błogosławieństwa broni podziemnych bojówek, kierującej się przeciw działaczom demokratycznym, przeciw bratu. Zapadły wyroki i niektórzy z oskarżonych księży z ławy sądowej, na której zasiedli, wygłosili zdania, potępiające tego rodzaju metody walki politycznej. Mimo to głosu tego nie podchwycili — a powinni byli pierwsi z takim potępieniem zbrodni wystąpić — biskupi, przełożeni obwinionych i skazanych.

Od początku naszej nowej niepodległości Episkopat polski wielokrotnie zabierał głos w sprawach publicznych, jego listy pasterskie rozpowszechniane były przy pomocy bardzo poczytnej gazety, jaką są ambony. Pod naciskiem opinii polskiej biskupi nasi musieli nawet zabrać głos w sprawie słynnego listu papieskiego do biskupów niemieckich. Tym razem jednak nie pojawił się ani jeden głos ze strony wysokich władz kościelnych w Polsce, który by wyjaśnił zdumionemu społeczeństwu katolickiemu, kim są oskarżeni księża, dlaczego się od nich Kościół odgradza i co zamierza uczynić, by tego rodzaju sług kościelnych w ogóle w Kościele polskim nie było.

Jesteśmy katolikami. I dlatego potępiamy zbrodnię. Jesteśmy Polakami i dlatego potępiamy zbrodnię przeciwko prawowitej władzy, przeciw współobywatelom. To, że przestępstwa wymyślili i wykonali księża, ci sami, których nauczono nas uważać za pośredników między nami a Bogiem, pogłębia jeno grozę faktów.

Pragniemy, by już raz na zawsze zamknął się straszliwy krąg bratobójczych zbrodni. Pragniemy, by zamknął się świecący ponuro na tle całej naszej prawie historii straszliwy krąg tych księży, którzy w niczym nie dojrzeli, by przewodzić społeczeństwu polskiemu, którzy nie zdawali sobie sprawy z obowiązków wobec ojczyzny, rządu, społeczeństwa, epoki. Wszyscy pracujemy, a tymczasem księża Fertakowie „błogosławią“ broń, ale nie tę mickiewiczowską broń i orły narodowe, lecz tę, która obrócona przeciw bratu, nacina coraz to nowsze nie gojące się rany na ciele społeczeństwa, zrastającym się pracą, wolą i wiarą nas wszystkich w jeden zdrowy pełny organizm. My pracujemy wszyscy, a tymczasem w masie kleru polskiego, który zapomina często o swoich chlubnych także demokratycznych tradycjach, tolerowani są księża, którzy w niczym nie usprawiedliwiają naszej ogólnej tolerancji, nie mówiąc już o powszechnej wciąż jeszcze w masie narodu wierności ideałów Kościoła.

Pragniemy, by kler polski szedł bezwzględnie z narodem. Żywiliśmy cichą nadzieję, że — włączywszy się w nurt postępowej ideologii społecznej, tak jak to uczyniły duże zespoły księży francuskich n. p. — stanie na czele narodu, na czele mas obok tych wszystkich działaczy demokratycznych, którzy ideologię postępu wynieśli z proletariackiego domu, z lat walki i poniewierki społecznej. A tymczasem prasa codzienna burzy nasz optymizm straszliwymi wieściami o zbrodni. O zbrodni księży.

Jesteśmy katolikami i dlatego wierzymy w konieczność zadośćuczynienia. W tym wypadku musi nią być kara. Kara została już wymierzona. Ale nie na tym koniec. Wierzymy w konieczność potępienia zbrodniczych jednostek wśród kleru, w konieczność potępienia zbrodni, nazwanej dokładnie po imieniu, według terminologii, jaką stosuje się w atmosferze politycznej narodu. To potępienie zaś musi wyjść ze strony wyższego kleru, ze strony biskupów. Ich nieobecność w sprawie tak ważnej nie może być niczym usprawiedliwiona. Żądamy ich wyraźnej obecności po stronie potępiających zbrodnię.

Jest to nasz głos. Katolików. Chcemy, by nie było niejasności między naszym stosunkiem do Kościoła, a stosunkiem do Państwa. Jesteśmy po stronie Państwa i kierujących nim ludzi. Po tej samej stronie musi się znaleźć episkopat polski, jeśli chce nadal wierzyć w konieczność swego istnienia wśród nas. **Jędrzej Makosz**

Z twórczości artystycznej Pawła Stellera

Motywy katowickie

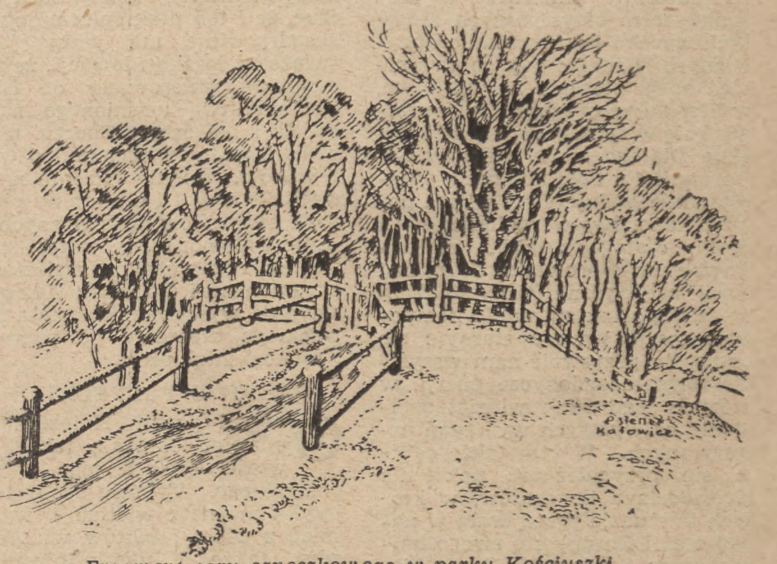

Fragment toru saneczkowego w parku Kościuszki

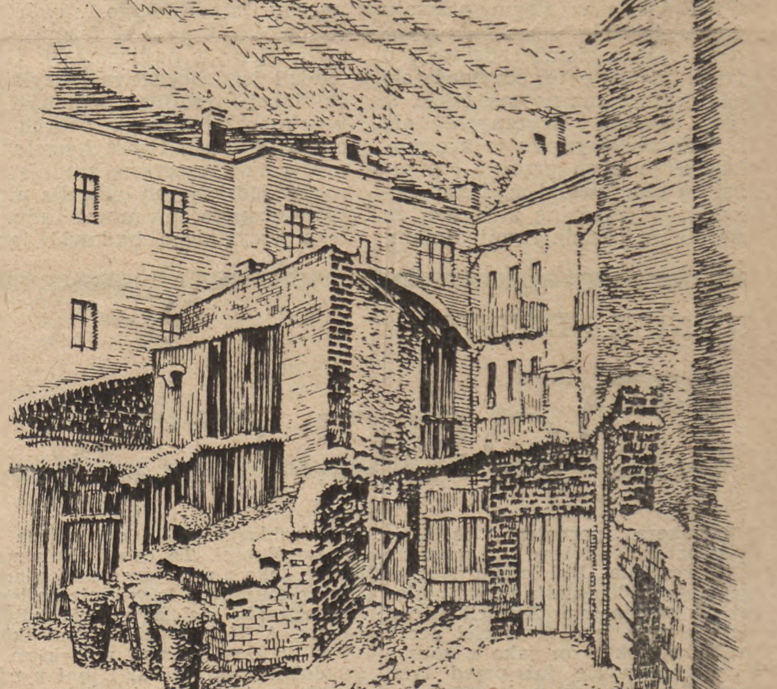

Zakątek przy ulicy Krzywej (nr 5) w Katowicach

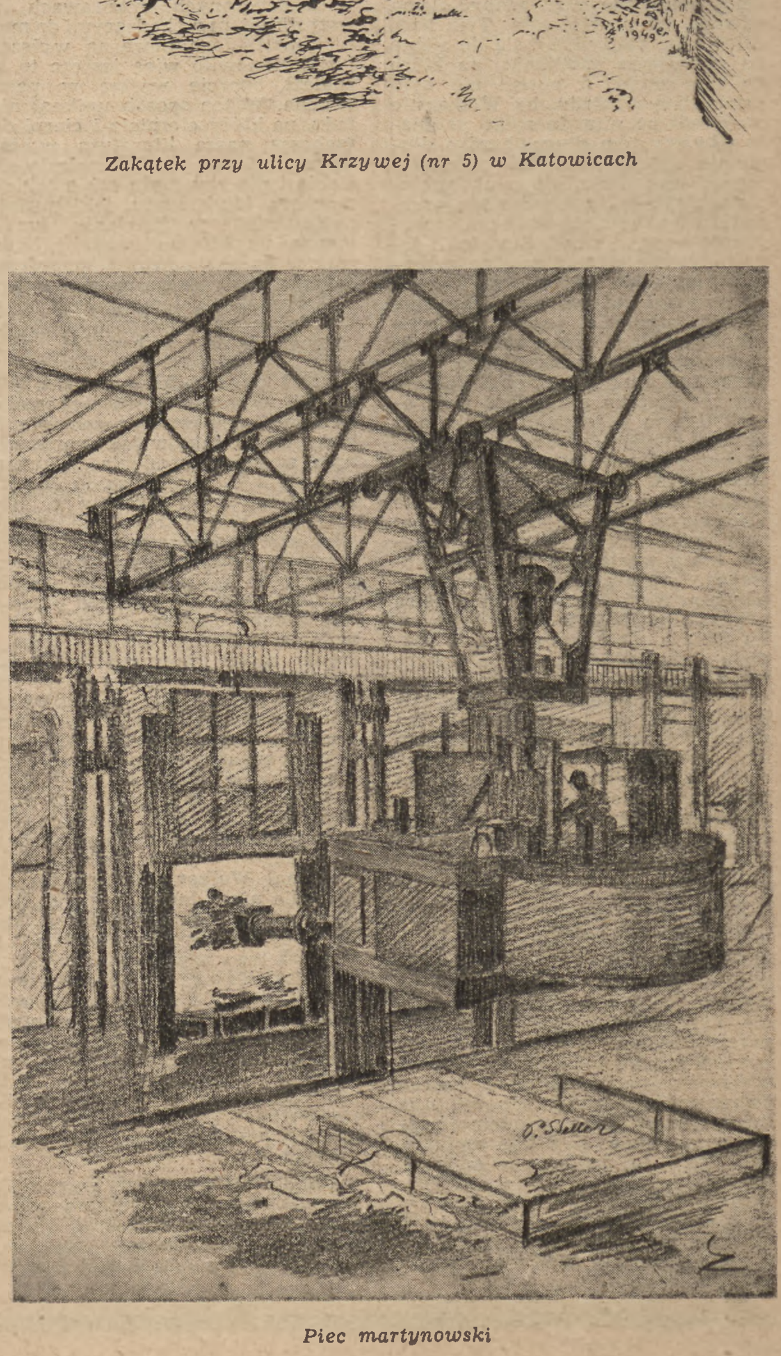

Piec martynowski

ANDRZEJ MRAZ

Dzieło literackie Hwiezdosława

Jeśli ktoś zechce szukać głównego nerwu i zasadniczego sensu w poezji Hviezdoslava, w niczym innym nie znajdzie ich tak niezawodnie jak w umiłowaniu przez poetę życia słowackiego narodu. Było to życie ogromnie biedne, w przeszłości i wówczas jeszcze gnębiły je tysiące trosk, obcy i wielu swoich pogardzali nim i życzyli mu zguby, a nawet perspektyw na przyszłość nie miało ono niemal żadnych. Ale otaczała je ufność tych, którzy je czcili. Oni w jego nędzy odnajdywali zarazem jego bogactwo, w jego poniżeniu jego wyższość, w jego cechach, na które plwano, jego piękno. W ten sposób bronili go przed nieżyczliwymi, sławili i otaczali pięknem w oczach własnego narodu i w oczach świata. Hviezdoslav stoi w pierwszym szeregu poetyckich wielbicieli życia słowackiego narodu. Począwszy od najsubtelniejszego i jakby najbardziej bezpretensjonalnego wiersza lirycznego, poprzez wielkie cykle liryki refleksyjnej aż po ujmowanie w poetycką formę podań ludowych i tematów historycznych, po dramaty i kroniki z życia ludu, a nawet aż po epopeje biblijne i biblijny dramat o Herodzie i Herodiadzie, wszędzie z pokorą i oddaniem poświęca się on tej obronie wywyższaniu słowackiego życia.

LITERACKI CHARAKTER EPOKI

Tak umiłowany przez poetę temat jego twórczości, poezja mająca za swój cel chwałę i wywyższanie życia narodu słowackiego nie mogły zadowolić się ujęciem tego w formy niepozorne, prymitywne i zaściankowe. Nasza literatura piękna w epoce Hviezdoslava zmierzała w kierunku form artystycznych stojących wysoko i powszechnie uprawianych. Podczas gdy ze wszystkich stron otaczało nas ubóstwo, w literaturze pragnęliśmy przejawiać się w sposób wspaniały i bogaty. Dlatego to Hviezdoslav tak starannie i z taką dbałością o poprawność buduje swój wiersz podług kanonów wersyfikacyjnych epoki, dlatego z takim marnotrawstwem wprowadza do naszej poezji artystyczne formy stroficzne, dlatego tak starannie komponuje swoje utwory starając się po prostu przyswoić nam wszystkie formalne zdobycze poezji, w których jego wiek widział spełnienie najwyższych wymagań artystycznych. W tym także odbija się przynależność pokolenia Hviezdoslava do czasów, w których burżuazja przeżywała w naszej części Europy erę swego największego rozkwitu. Nasze niepozorne życie usiłowaliśmy odtworzvć w formach wielkiej sztuki. Hviezdoslav monumentalizował je sztuką monumentalną.

LIRYKA HVIEZDOSLAVA

Ponieważ musimy mówić o monumentalności, weźmy pod uwagę którykolwiek z fragmentów jego poetyckiego dzieła. Na przykład lirykę osobistą. Na ogół wyposażona jest ona bardzo bogato w skomplikowane obrazowanie i głębokość myśli, w różnorodne środki artystyczne, do jakich doszła w swym rozwoju poezja. Opowiada o dzieciństwie poety. o jego ziemi rodzinnej, o matce, motywy te odzywać się będą jeszcze raz po raz także w jego cyklach lirycznych, ale Hviezdoslav wyrywa je z atmosfery intymnych przeżyć i przenosi na plan swojej mądrości życiowej, w dziedzinę związaną ze wszystkimi zasadniczymi liniami jego stosunku do świata, a również i w dziedzinę pojęć metafizycznych. Mówi o przyrodzie, o wrażeniach rzeczy widzianych i przeżytych, ale stanowi to dla niego tylko podnietę do tego, by napełnić swój wiersz wielogłosową melodią spraw wielkich i wzniosłych, tych spraw, którymi pragnął żyć człowiek typu i w rodzaju Hviezdoslava. Z takiego też ustosunkowania się do motywów lirycznych wypływał organicznie fakt, że ta dziedzina jego poezji, czy to mamy na myśli cykle „Letorosty“, „Stesky“, „Prechadzky jarom“, i „Prechadzky letom“, „Dozvuky“, czy nawet pojedyncze wiersze liryczne, że ta dziedzina jego poezji nastawiona była na wzniosły patos, na zaklęcia i przestrogi, że za jej pośrednictwem pragnął spełniać w narodzie misję arcykapłana, nauczyciela i gromy miotającego mściciela.

Naprawdę nie częste są nawet w dziejach literatury światowej wypadki, by dzieła wielkich pisarzy tak integralnie i tak bezwzględnie we wszystkich swoich elementach oddane były sprawie narodu, jego podźwignięciu, wywyższeniu, troskom o jego losy i by tak czynnie manifestowały umiłowanie przejawów życia narodowego, jak to spotykamy w poezji Hviezdoslava. Przy czytaniu jego wierszy każdy musi odczuć, że i ten ptak śpiewający na kosodrzewinie ma jakby jakiś związek z losami Słowacji, że i ta modlitwa skierowana do Boga jest modlitwą uciśnionego narodu, że i ten szczyt Chocza, mgły nad orawskimi wierchami, dźwięk dzwonów, męki Prometeusza, wreszcie nawet i orientalny przepych szczegółów zewnętrznych w „Śnie Salomona“, że wszystko to stoi w organicznym związku z pragnieniem i dążeniem Hviezdoslava do wywyższenia świata słowackiego, otoczenia go pięknem i monumentalnością.

SŁOWO POETYCKIE

Ów cel poezji Hviezdoslava odzwierciedla się także we właściwościach jego języka poetyckiego. Typowe cechy tego języka można oświetlać i wyjaśniać z wielu punktów widzenia, gdyż także i ukształtowaniem swojego języka poetyckiego starał się Hviezdoslav spełniać swoją podstawową zasadę artystycznej doskonałości, ale tego rodzaju wytłumaczenie i jemu podobne byłyby moim zdaniem jednostronne. Nie obejmowałyby wszystkich zasadniczych motywów, które wywierały wpływ na kształtowanie się stylu poety. Hviezdoslav bowiem tak jak gorąco kochał wszystko, nawet rzeczy najmniejsze i najmniej znaczące, co miało związek ze słowackością, tak samo kochał i język swojego narodu i starał się go w twórczości swojej używać w formie najpiękniejszej i najbogatszej. Gromadził jego bogactwa leksykalne ze starej literatury, pomnażał je przejmowaniem słów obcych od czasu do czasu tworzył neologizmy, a niewyczerpaną studnią zasobów językowych była dla niego również potoczna mowa ludu. Z tego wszystkiego budował język poetycki bogaty, złożony, zróżnicowany, pragnąc nim poza wszystkimi innymi względami także i zadokumentować, że chociaż język słowacki nieszczęśliwe i różne przechodził koleje, że chociaż wygnano go ze szkół i z życia publicznego, on jednak jest językiem dojrzałym, wykształconym, zdolnym do spełnienia tych wszystkich zadań, jakie spełniają języki mające za sobą pomyślniejszy przebieg historycznego rozwoju. Dał temu nawet bezpośredni wyraz w swoim sonecie o dokonanym przez siebie przekładzie „Hamleta“. Wyraża tam radość, że nieszczęśliwy książę duński przybrał słowacką szatę, że wybierając ją uznał ją za godną „tronu i świątyni ducha“, oraz rzuca słowa potępienia tym „głuchym, głupim i ślepym“, którzy gardzą słowacką mową.

Hviezdoslav nie tylko jednak uwielbiał w ten sposób i wywyższał język słowacki, ale i wszystko, w czym życie narodu słowackiego znajdowało swój przejaw.

TWÓRCZOŚĆ EPICKA

Na tej płaszczyźnie, na tle uwielbienia Hviezdoslava dla życia narodu słowackiego i na tle chwały, jaką je otaczał, słów parę należy powiedzieć o jego epice. Uświadomić sobie przy tym trzeba, że ta dziedzina jego twórczości również wyrastała ze złożonych pobudek, że należy ją traktować na tle ówczesnych gustów literackich, które epikę stawiały wyżej od innych gatunków literackich. Przez część swojej epiki ukazuje nam się też Hviezdoslav jako kontynuator szturowskiej tradycji literackiej, zwłaszcza przez epikę historyczną i opartą na tematach ludowych. Epickimi utworami osnutymi na motywach biblijnych chciał niewątpliwie pokazać jasno, że usankcjonowane w literaturze światowej wątki (dotyczy to zwłaszcza Kaina) można włączyć jako rzecz wysokiej wartości do literatury słowackiej jego wieku, w całej więc twórczości epickiej szło Hviezdoslavowi o to podniesienie naszego piśmiennictwa i otoczenie chwałą naszego życia. Dlatego także do epickich poematów i dramatów biblijnych wdzierały mu się ostrzegawcze i krzepiące parabele z problematyką i ówczesnymi losami Słowacji, w epice historycznej chciał z dydaktyczną myślą komentować w formie poetyckiej wydarzenia z dziejów słowackich. Przez tę dziedzinę swej twórczości pełnił więc misję, którą trudnili się już szturowscy prozaicy, poeci i dramaturgowie. Wydobywaniem z zapomnienia i ożywianiem dat z przeszłości narodu chciał krzepić świadomość współczesnych obciążonych kompleksami niehistoryczności swego narodu. Motywy folklorystyczne jego epiki, opracowane przeważnie w formie balladowej, są u Hviezdoslava wyrazem właściwego tej epoce zwrotu w stronę zasobów twórczości ludowej, jako do dowodów poetyckości ludu i jego oryginalności.

O sprawach, które tu rozważamy, najwięcej może nam zatem powiedzieć epika Hviezdoslava, czerpiąca tematy z życia ludu, i ta złożona z utworów krótszych i trzy obszerne poematy. Nie tylko w liryce, lecz właśnie także w utworach epickich wyznaje autor, jak sam osobiście czuje się zrośnięty z pracą rolnika, jak jest nią przeniknięty. Tak np. wiersz „Oracz i kosiarz“ stanowi przez całość utworu przeprowadzoną podniosłą paralelę pracy rolnika z pracą poety, jakby Hviezdoslav pragnął zaznaczyć, że obydwie są równie wzniosłe i obie równie błogosławione, przy czym nie może się on powstrzymać, by nie dać wyrazu typowemu dla naszego inteligenta z lat minionych i niedawnych westchnieniu: „O, gdybym został wierny ojcowskiemu pługowi!“

Praca na wsi i życie na wsi były dla niego przeciwieństwem życia miejskiego i inteligenckiej mordęgi, przeciwieństwem wszystkich niepewności, kryzysów i niepokojów, w jakich miotało się społeczeństwo w mieście, schronieniem i ucieczką przed inteligenckimi konfliktami i tak właśnie ta dziedzina jego materiału poetyckiego żyje w jego epice ludowej. W jednym z utworów zwraca się do ludu: „Bądź więc ludu, dumy mej podnietą!“ I wierzy równocześnie, że ta podnieta jego dumy reprezentuje wyższy stopień szlachetności i wyższe wartości niż życie innych warstw społecznych.

OMYŁKI TWÓRCZOŚCI HVIEZDOSLAVA

Zwrot w stronę życia ludu wśród inteligencji słowackiej w czasach Hviezdoslava uzasadniony był, jak już zaznaczyliśmy, całą naszą ówczesną społeczną i narodową sytuacją. Inteligencja ratowała się w ten sposób z marazmu zwątpienia, beznadziejności i małości. Prawdą jest, że zasadnicza treść tego stosunku inteligencji narodu do warstw ludowych miała więcej charakter emocjonalny, abstrakcyjny, idealizujący, a w bardzo tylko nielicznych wypadkach realistyczny. Realistyczny jej charakter leżał raczej w tym, że zarówno Hviezdoslav jak Kukuczin z drozbiazgową wiernością reprodukowali w swych dziełach ogromnie liczne fakty z duchowego i wewnętrznego życia ludu, ale fakty te przeważnie otaczali uwielbieniem, nie widzieli ich w kategoriach społecznych i klasowych. W „Żonie gajowego“ Hviezdoslav rozpętał nawet konflikt między przedstawicielem warstwy szlacheckiej a rodziną gajowego Czajki. Konflikt ten jednak oparty jest wyraźnie, chociaż nie wyłącznie, na motywach osobistych i moralnych. Całość teoretycznego i moralnego stosunku autora do ówczesnej problematyki życia kazała mu rozwiązywać konflikt i starcie się dwóch światów w duchu zgody. Czego w tym zakresie nie dopowiedział w samej akcji i w treści ideowej „Żony gajowego“, to w sposób symptomatyczny dopełnił w oddzielnym wierszu „Podwójne odwiedziny“. Po latach powraca poeta do środowiska i postaci z „Żony gajowego“ i obydwu Vlkolińskich. Wszystko znajduje tu w najlepszym porządku. Vlkolińskim odczytuje wprawdzie z wyrzutem rozdział z etyki narodowej, politycznej i etyki pracy, ale Podgórze Czajków, gdzie wybuchł konflikt człowieka z ludu z pańskim wyrzutkiem, napełnia go takim zadowoleniem, że:

...chciałbym w tym pięknym świecie,
w tej prostocie i spokoju
żywota dokonać swego...

A Czajkowie opływają w szczęście, panów swoich nie mogą się nachwalić i mówią sobie:

Z bożej łaski, hej, i z pańskiej
no i, prawda, bez przechwałki,
także i za własnym przyczynieniem
skrzętni będąc i zaradni
żyć uchciwie z czego mamy...

W dalszym ciągu „Podwójnych odwiedzin“ wylicza i dalsze warunki szczęśliwego życia, a wszystkie one na ogół pochodzą z arsenału moralności, która omija determinację losów ludzkich czynnikami społecznymi, w przeciwieństwie do tego, jak my je dzisiaj pojmujemy.

CHARAKTER WALKI

Zresztą Hviezdoslav nie uporał się i nie mógł się uporać z rozwiązaniem problemów, które wynikając ze socjalnych przeciwieństw jego czasów, naciskały ze wszystkich stron. Niezróżnicowanie ówczesnego naszego społeczeństwa nie narzucało nawet najbardziej oddanym i najgorliwszym miłośnikom sprawy słowackiej takiego ujmowania podstawowych problemów społecznych, które sięgałoby do istoty zagadnień i widziało je we wszystkich powiązaniach. Prócz tego sytuacja wytworzona na skutek faktów zewnętrznych, obliczonych na bezwzględne zlikwidowanie wszelkich cech naszej narodowej odrębności, w sposób zasadniczy wpływa na podstawę inteligencji w czasach Hviezdoslava i czyniła ją jednostronną w sprawach, z którymi stali oko w oko. Pragnęli przede wszystkim jednego: uratować życie słowackie przed zatratą. Usiłowanie to wiodło ich dalej do wiary w wartość koncepcji idealistyczno-humanistycznych w tej formie, jak widzieli je ucieleśnione w nauce chrześcijańskiej, do wiary w ideologię narodową ukształtowaną na podstawie myślowych konstrukcji oświecenia i romantyzmu. Przy nikłości naszych sił narodowych taktyka konserwatywna wydawała im się skuteczniejsza, niż jakakolwiek inna. Przewaga była po stronie przeciwnej, w otwartej walce z nią nie było widoków na nasze zwycięstwo. Trzeba się zatem było stale uchylać, trzeba było unikać i to unikać nawet ówczesnych zdobyczy naukowych, ponieważ przy ich pomocy nieprzyjaciel nasz więcej wzmacniał swe siły niż zdolni byliśmy i mogliśmy to czynić my. Tak więc i u Hviezdoslava spotykamy się ze śmielszym przyłączeniem się do postępowych prądów nurtujących inteligencję europejską tylko na płaszczyźnie zagadnień artystycznych, podczas gdy ideowa treść jego dzieła pełna jest obaw i wahań, pełna uchylania się od teoretycznych konkluzji zwłaszcza nauk humanistycznych i społecznych jego czasów.

Przy tym wszystkim jednak Hviezdoslav specjalnie nie popadał w bierny kwietyzm konserwatywnych desperatów. Prócz wszystkich innych względów nie popadał także dlatego, że gorąco kochał to, co słowackie, nie tylko wartości intelektualne narodu, ale przede wszystkim wartości tkwiące w ludzie. Uczcił je w dziele literackim bogato zinstrumentowanym i poetycko dojrzałym. W ten sposób ze sfer poetyckiego oderwania i izolacji przenosił się na mocny grunt rzeczywistego życia, od udręki przelotnych cieniów na grunt szlachetnej pracy rolnika, archaicznie podniosłych obyczajów w Vlkolinie, przyczyn upadku drobnej szlachty w swoich stronach rodzinnych, na teren wielu faktów z duchowego i materialnego życia naszej warstwy rolniczej. Skoro ginęliśmy we wszystkich innych warstwach i na wszystkich innych polach, Hviezdoslav z namaszczeniem i wynoszeniem gloryfikował to, co lud nasz odziedziczył po przodkach, to, co z tego dziedzictwa uparcie strzegł w zawierusze czasów zabezpieczając przez swe zdrowe społeczne, pracownicze, etyczne i narodowe instynkty naszą przyszłość.

HVIEZDOSLAV A DZIEŃ DZISIEJSZY

Dziś, czcząc setną rocznicę urodzin Hviezdoslava, mamy obowiązek nie tylko wyjaśniać jego dzieło w kategoriach historycznych, z czego wyrastało, do czego zmierzało i jakie wartości reprezentuje w naszej poezji, lecz musimy sobie również odpowiedzieć na pytanie, w czym jest ona dla nas siłą żywotną i inspirującą, czym pobudza nasze usiłowania i w jaki sposób włącza się w nasze dzisiejsze i jutrzejsze dążenia artystyczne. Współczesność nasza musi sobie twórczo przyswajać Hviezdoslava. W takiej mierze, w jakiej wielkie są i zwycięskie nasze współczesne społeczne, kulturalne i moralne dążenia, w takiej samej mierze musimy sobie przyzwyczajać także dziedzictwo naszej przeszłości kulturalnej, przewartościowywać je i konfrontować z dniem dzisiejszym. W powyższych rozważaniach również chociaż szkicowo zaznaczyliśmy, w czym i jak był Paweł Országh dzieckiem swojej epoki, która w całości swych stosunków tak diametrialnie różniła się od naszej dzisiejszej rzeczywistości światowej a zwłaszcza słowiańskiej. Z tego wypływa logicznie, że twórczość Hviezdoslava pod wieloma względami spłaca daninę czasom, w jakich żył, i ówczesnym poglądom. Przeszłość i tradycja płodne są nie przez to, że jakby mechanicznie przekazują nam wskazania i zobowiązania, lecz przez to, że w sposób dynamiczny ukazują nam zbliska swoje walki, dążenia, swoje zwycięstwa i klęski. Treść życia narodowego naszych ojców i dziadów, naszego ucisku narodowego i nędzy społecznej, naszej postawy duchowej, naszych śmiałych poczynań artystycznych obrazuje nam twórczość Hiezdoslava z porywającą intensywnością. A w rozległym jego dziele są także niezliczone pokłady wartości tak artystycznych, jak i ideowych, mających prosty i bezpośredni związek nie tylko z poszczególnymi faktami naszej współczesnej rzeczywistości, lecz i niejeden punkt styczny z generalną linią naszego twórczego dzieła i jego celów. Hviezdoslav jest, był i zostanie oparciem dla pozytywnych dążeń słowackiego życia narodowego.

Andrej Mráz
Tłumaczył **Zdzisław Hierowski**

NATALIA ROLLECZEK

Przygody

Baca*) dotarł po północy do Skolina; wyczerpany marszem czuł się u kresu sił. Niesiona broń, zdobyczny empi oraz trzy pistolety ręczne, rozpychające kieszenie niemieckiego munduru, który miał na sobie — ciążyły mu coraz bardziej. Kilka razy potknął się o wystające kamienie chodnika i mrucząc przekleństwa przyspieszał kroku.

Miasteczko spało. Uliczki były ciemne. Baca słyszał głośny dźwięk swoich własnych podkówek, rozlegający się ponad brukiem.

— A no, udał się skok na skurczybyków — myślał triumfująco rozdzierając z trudem klejące się powieki. Przed oczyma pojawił się przeżyty, kuszący obraz, od którego całe ciało naprężał dreszcz: dwie ciemne prawie majestatyczne sylwetki żandarmów, kroczące w długich płaszczach — huk, wstrząs powietrza — i obie postacie osunęły się i legły płasko na szosie. Gdy przyskoczył aby spojrzeć w ich twarze, ujrzał je białe jak drewno.

— A no, sami się nawinęli pod strzał... mruknął do siebie, dotykając z lubością pistoletów w kieszeni.

Szedł opadającą w dół uliczką. Wiedział, że wyjdzie nią na przedmieście, a potem łąkami dojdzie do Bogdanowic.

Uliczka była wąska, ciasne kamieniczki nachylały się nad nią stromo. W ciemnościach rozlegał sie przejmujący, koci płacz. Z jednych drzwi padała ukośnie na przeciwległy chodnik szpara światła

Baca przeszedł przez jezdnię i z zadartą do góry głową stanął przed kamieniczką. Na czarnym szyldzie przebłyskiwały wypukło złocone litery: „Apotheke“. Wszedł szybko na schodki i pchnął drzwi. Dźwiękła spuszczona sztaba, z wewnątrz rozległ się łoskot uciekających w popłochu nóg.

Baca stał na środku opustoszałego lokalu, rozglądając się z ciekawością wokół.

— Przestraszyłem złodziejaszków — czy co u licha? poczuł w nozdrzach ostry, drażniący zapach jakby dezynfekcyjnego środka. Postąpił naprzód — pod nogą zaskrzypiało szkło. Żółty płomyk pozostawionej świecy rozjaśniał mrok. Na podłodze leżały bezładnie rozrzucone papiery, bielał wysypany proszek.

Na półkach połyskiwały rzędy słojów. Baca wszedł za ladę, sięgnął ręką do otwartej puszki i wyciągnął z niej garść proszków. Przesunął otwartą dłoń do światła:

— Lu-mi-nal — wysylabizował. — Będzie dobre na ból głowy... i zaczerpnąwszy pełniejszą garść, wetknął proszki w kieszeń spodni. Poprawił furażerkę na głowie i trącając nogą przed siebie leżącą na podłodze puszkę, ruszył ku drzwiom. Doszedł do progu i naraz zatrzymał się uderzony myślą:

— Wezmę perfumy dla Zośki...

Szukał wyjmując korek z każdego słoja i wąchając jego zawartość. Odstawiał zbadane i sięgał po następne. Po jakimś czasie od wypróbowanych zapachów zaczęło mu się robić ckliwo, w głowie czuł lekki zamęt. Świeca dogasała. Płomień chybnął się kilka razy i zaczął skwierczeć. Jędrek trafił na litrową butelkę i pociągnął nosem: doleciała go woń spirytusu i słodu. Spróbował płynu językiem.

— Bezkurcyje — mruknął. Gęsty i słodki eliksir rozgrzewał ożvwczo krtań. — Bezkurcyje — powtórzył i podniósłszy skwapliwie flaszkę do ust zaczął łykać płyn.

Świeca zgasła. W aptece uczyniło się ciemno. Jędrek wyciągnął rękę z pustą butelką w kierunku lady. Dłoń drgnęła niepewnie i butelka uderzyła o kant stołu: rozległ się suchy trzask tłukącego się szkła.

— Niech ginie, co niemieckie Won „Apotheke“ bezkurcyjo... — mruknął rozjuszony i zamachnął się pięścią. — Rozległ się łoskot i brzęk rozbijającego się o kamienną posadzkę, lecącego z półek szkła. Baca zadowolony ściągnął furażerkę w tył głowy. Pod ręką zostało mu jeszcze tylko kilka słoi, reszta potłuczona leżała na kupie między ladą, a ścianą. Ostre, pomieszane ze sobą zapachy, unosiły się nad nią i biły w nozdrza.

— Raus „Apotheke“ — warknął, sięgając ręką po nową butelkę; naraz mu się to znudziło. Kopnął stos szkła i skrzypiąc podeszwami, ruszył chwiejnie do wyjścia.

Potknął się o schodek.

— Nic się nie bój, głupia... nic ci nie zrobię — obruszył się i z rozpędem znalazł się na ulicy.

Był już poza miastem. Od łąk pachniało przytulnie skoszoną trawą. Zeszedł z drogi na łąkę i po paru krokach stanęła mu na przeszkodzie kopica siana. Chciał usiąść, ale ziemia podniosła się nagle w górę i uderzyła go twardo w tyłek. Przewrócił się na bok i zaczął się wgrzebywać w siano. Jedna ręka doszperała się w kieszeni szeleszczącego papierka. Wyjął go.

— Wiem, to „Kogutek“ na głowę... — rezonował ręką w powietrzu. Proszek oporną drogą

Fragment powieści pt. „Dom bez ścian“, która ukaże się nakładem Gebethnera i Wolffa.

ZDENIEK NEJEDLY

Dość czy więcej Wolkera

Wolkera poznałem osobiście bardzo dobrze i bardzo wcześnie. Był moim słuchaczem, ale szybko stał się czymś więcej niż słuchaczem. Zwrócił mi na niego uwagę jego przyjaciel Jerzy Svoboda, z którym jako z muzykiem znałem się już przed tym. Poznanie nasze było widocznie również życzeniem samego Wolkera, który jednak przy swej niezwykłej delikatności nie mógł zdobyć się na odwagę, by przyjść sam. Tym bardziej więc zbliżyliśmy się do siebie po pierwszym spotkaniu, na które go zaprosiłem. A potem nie było już prawie wykładu, by Wolker nie przyszedł po nim do mego gabinetu i byśmy tam długo, bardzo długo nie dyskutowali. Tak powstał i jego słynny „Manifest sztuki proletariackiej“, który dlatego nie przypadkiem ukazał się w moim czasopiśmie — w „Varze“. Stąd też i jego publiczne wystąpienie na zebraniu przyjaciół „Varu“, na którym towarzyszył mi wówczas Jarosław Seifert, przyjaciel jego i tak samo jak on myślący poeta, który występował przy tym jeszcze jako pewnego rodzaju protektor Wolkera czy raczej jako sekundant przy oczekiwanym pojedynku Wolkera z innymi młodymi poetami, rekrutującymi się głównie ze studenckiego środowiska. Tam po raz pierwszy słyszałem przemawiającego także Vitiezslava Nezvala, młodzieńca o rumianym obliczu, też mego słuchacza, który wystąpił w roli umiarkowanego wprawdzie, ale jednak oponenta. No i za to otrzymał ostrą odprawę od Seiferta. Było to w roku 1921, w pierwszym impecie rozpędu naszej młodej poezji, a dlatego też nie pozbawione było naiwnego uroku właściwych młodości poszukiwań. Wśród tego jednak, tym więcej wyróżniał się Wolker jasnością swoich wywodów i pewnością swego stanowiska. Ze zdumieniem i podziwem śledziłem nie tylko jego przemówienie, lecz także i jego twarz szlachetną, przepojoną wewnętrznym ogniem a przy tym spokojną świadomością posiadania prawdy.

Dlaczego to przytaczam? Przede wszystkim dlatego, że i dzisiaj tak potrzebowalibyśmy podobnych zebrań. Zasadniczo jednak dlatego, by pokazać, że Wolker także i osobiście był wśród młodych *duchem-przewodnikiem*. Był nim przede wszystkim jako indywidualność bezsprzecznie najwybitniejsza pośród ówczesnej młodzieży. Ale był nim także i przez jasną świadomość tego, czego chce i dokąd zmierza. Nie była to jednak świadomość przypadkiem zdobyta, lecz z rozwagą w sobie wytworzona. Nie była też podpatrzona gdzie indziej. Słusznie wskazano na piękny i tak płodny stosunek Wolkera do naszych klasyków, a do Erbena w szczególności. To dawało mu pewność, jaką z artystów naszych mieli tylko muzycy, i to właśnie najlepsi, przez to, że znaleźli oparcie w Smetanie. A Wolker też był muzykiem i to bardzo dobrym muzykiem — podobnie jak Nezval i inni z młodych poetów — więc dobrze znał i zgłębił Smetanę jako twórcę praw, tak jak go stawiałem przed oczy w niezliczonych rozprawach ze wszystkimi przychodzącymi do mnie artystami. Jego poważną wyższość i siłę stanowiło więc jeszcze to, że znalazł oparcie wprost w poezji Erbena. W ten sposób uniknął nieładu, na który cierpiała i cierpi dotychczas nasza literatura właśnie wskutek tego, że nie znalazła dla siebie i nie stworzyła sobie takiego mocnego fundamentu, jaki muzyka nasza miała w Smetanie, fundamentu, na którym mogłaby budować w sposób pewny i organiczny dalsze etapy naszego piśmiennictwa.

Wolker dzięki temu jednak odnalazł także najwłaściwszą drogę do rozwiązywania najbardziej palących zagadnień współczesności. Przeżył on głęboko przewrót, jaki zaszedł w czasie pierwszej wojny światowej zarówno w zakresie obiektywnych faktów jak i powszechnym sposobie myślenia. Wówczas w r. 1918 ludzkość dawno już nie była tym, czym była w r. 1914. Pierwsza wojna rozpętała w niej siły, które, doznawszy potem rozczarowania, tym gwałtowniej zapłonęły teraz, po drugiej wojnie, w roku 1945. Największy przecież cios zadany staremu światu — Rewolucja Październikowa — wymierzony został wówczas, w czasie pierwszej wojny. Druga wojna tylko potwierdziła siłę i niezwyciężalność Rewolucji Październikowej. Nadała więc ruchowi walczącemu o nowy świat większą jeszcze energię i przebojowość, ale ideę walki o nowe życie znał świat już wówczas. A mało było młodych duchów, które tak bezpośrednio wchłonęłyby to w siebie, jak wchłonął Wolker. Dlatego też nie było dla niego innej drogi jak droga rewolucji, jak droga poezji, która oddychałaby bezpośrednio atmosferą tego nowego świata, wówczas istniejącego dopiero w wyobraźni, lecz nie mniej przeto rzeczywistego, świata nęcącego wprost, by bić się za niego, bić się za przyszłe, ale jasno już widziane i tym bardziej realne, lepsze życie. A że był poetą, i to wielkim poetą, bił się Wolker za ten nowy świat tak samo piękną i głęboko porywającą poezją.

Tak go też przyjęła i zrozumiała młodzież. Kult Wolkera wśród naszej młodzieży nie był kultem poetyckich subtelności i osobliwości. Młodzież nasza płonęła tym samym, czym płonął Wolker — entuzjazmem dla nowego, rodzącego się świata. Sama jednak nie umiała wyrazić tego, co czuła. Aż przyszedł Wolker i wypowiedział to, co w niej tkwiło i to, czemu ona sama pragnęła dać wyraz w słowach. Dlatego kult Wolkera był zjawiskiem jednym z najszczerszych, jakie się u nas pojawiły. Nie była to moda, jaką na przykład był kult tych wszelakich obcych nowinek i artystycznych jętek - jednodniówek, po których nazajutrz nie pozostawał nawet ślad. Był to kult poezji, w której odzwierciadlały się najważniejsze nastroje, problemy i głosy współczesnej doby, która przy tym stanowiła punkt wyjścia dla wszystkich następnych okresów. Toteż kult Wolkera nie przeminął i żywy jest do dzisiaj. Późniejsze hasło „dosyć Wolkera!“ głosili następni młodzi poeci, ale nie czytelnicy, nie młodzież. Tam Wolker jest dziś jeszcze tak samo żywym chlebem. Wystarczy zwrócić uwagę, kogo dziś recytuje młodzież robotnicza i socjalistyczna w ogóle. Z młodych tylko Wolkera i stale tylko Wolkera. I inaczej być nie może, gdyż nikt bardziej nie odpowiada temu, czym młodzież ta żyje, nikt nie jest jej pod tym względem bliższy od Wolkera.

To tylko młodzi poeci zaczęli potem unikać Wolkera. Entuzjazm rewolucyjny roku 1918 pomału się uciszał i przygasał. Burżuazja zwolna także i u nas ujęła kierownictwo w swe ręce. A razem z nią znów weszły w modę jej dekadenckie zabawki, na które jedynie wystarczały zdolności twórcze jej poetów. Nasza młodzież też temu uległa. Okazało się, że jej rewolucyjność nie była stuprocentowa, czyli że byli rewolucyjni w teorii, często nawet i w polityce, ale jako poeci lubowali się raczej w przysmakach upadającej wprawdzie, ale stale jeszcze ekscytującej zmysły kultury burżuazyjnej. A w tym naturalnie Wolker był im przeszkodą. Młodzież, która umiłowała rewolucyjnego Wolkera, nie mogła równocześnie niemal miłować i tych poetów rozkoszy. W ten sposób Wolker stał się kamieniem, który najsilniej stanął nowo dekadenckiej poezji okresu burżuazyjnej i kapitalistycznej stabilizacji w drodze do powtórnego osiągnięcia stanowiska kierowniczego. Stąd to wołanie „dosyć Wolkera“, które równocześnie oznaczało: dość rewolucji, dość niepokojącej, dość walczącej poezji. I stąd tym większe rozkochanie się w „czystej“, to jest pozbawionej odpowiedzialności, czysto przyjemnościowej poezji. Stąd jednak pochodzi także bankructwo tego hasła i tych dążeń. Młodzież, jak już zaznaczyłem, hasła „dosyć Wolkera“ nie przyjęła. Przeciwnie, nie mając w jego miejsce czegoś równie wartościowego, rozmiłowała się w nim jeszcze więcej. Odezwał się jednak nawet bezwzględny protest przeciwko temu, gdyż już wtedy wielu ludziom nie było tajne, dlaczego w ogóle pojawiło się to hasło i dokąd ono w swoich ostatecznych konsekwencjach powiedzie. Sam przewodniczyłem wówczas na zebraniu, na którym protestowano i ostrzegano. Znaleźli się jednak wkrótce ci, którzy z początku dali się uwieść pozornej awangardowości tej „czystej poezji“, ale którzy tym wyraźniej potem przejrzeli, dokąd tą drogą poezja nasza zmierza. Był wśród nich i sam Bedrzich Vaclavek, człowiek z dobrych najlepszy, który po wrażeniach, jakich doznał na zjeździe pisarzy w Charkowie, natychmiast ostygł w tym zapale i stał się najbardziej czołowym pionierem sztuki żywej, służącej współczesności i heroicznym wysiłkom ludzkości, wyrażającej je, opiewającej i zasilającej. Druga wojna i czasy, które po niej nastąpiły, ożywiły na nowo w danym nasileniu problem, który wówczas był tak palący, z tą jednak różnicą, że wówczas młoda poezja miała Wolkera, podczas gdy dziś wciąż jeszcze rozglądamy się za nowym, dzisiejszym Wolkerem.

Dlatego walka przeciwko Wolkerowi przyniosła jeden tylko rezultat: uczyniła go klasykiem naszej współczesnej poezji. Nie tylko dlatego, że nie mamy dziś pośród ówczesnych młodych innego poety o takim znaczeniu i o tak niesłabnącej żywotności, ale dlatego, że walka o Wolkera wykazała, iż jest on także klasycznym przykładem tego, czym może być dzisiaj poeta dla ludu, dla narodu i dla młodzieży w ich dzisiejszej walce.

Na koniec słowo o stylu. Nie ma większego błędu w sztuce, niż sąd, że styl jest czymś autonomicznym lub nawet całkowicie abstrakcyjnym, czymś co stoi poza rzeczywistością i ponad rzeczywistością. Żaden wielki artysta nie wymyślał i nie wymyśla stylu dla swego dzieła. Z chwilą, gdy uświadamia sobie jasno, co chce stworzyć, styl staje mu się rzeczą samą przez się zrozumiałą. Posiadamy bardzo dokładne dzienniki Smetany. Nie znajdziemy tam jednak ani śladu rozważań na temat, jak ma co tworzyć. Nad tym musi zastanawiać się tylko człowiek pozbawiony geniuszu. Dla geniusza natychmiast staje się jasne, jak ma ukształtować swe dzieło. Smetana nie musiał się długo zastanawiać i rozważać, jaką formę ma nadać „Sprzedanej narzeczonej“, jeśli chce stworzyć dzieło pełne radości i humoru o tematyce zaczerpniętej z życia wsi czeskiej. Miał już z góry w sobie dość i znajomości rzeczy, i twórczego talentu, i artystycznej kultury, by nadać temu dziełu taki styl, jakiego domagały się jego cel, treść i sens. Było to dla niego tak samo jasne, jak jasne mu było, że tym samym stylem nie może stworzyć „Dalibora“, opery tragicznej i heroicznej, gdyż jeden styl dla wszystkiego nie jest już stylem, lecz szablonem. A geniusz nie posługuje się w twórczości szablonami, tych używa tylko nie pełny artysta. Styl sam w sobie, styl abstrakcyjny, dany z góry, nie jest w ogóle stylem. To także jest szablon, schemat a nie styl. Stąd pochodzi ta monotonność zabijająca u tego rodzaju „stylistów“ indywidualność, monotonność, która tak silnie zagraża dzisiaj życiu, a w szczególności życiu młodej sztuki.

Jeśli jednak stawiamy Wolkera młodym za przykład, jak tworzyć, nie myślimy przez to nawoływać ich, by naśladowali styl Wolkera. Nie waham się powiedzieć, że po lutym 1948 tak samo jak zmienia się cała treść naszego życia, tak samo naturalnie zmienia się i musi się zmienić nasza poezja, jeśli nie chce wyłączyć się z życia narodu i stać się tylko ozdobną koronką na rękawie prawdziwych ludzi pracy. Przez to bez wątpienia zmienia się i styl. Nie o to jednak chodzi, lecz o drogę, którą ma pójść młoda poezja. Nie wszyscy to naturalnie zrozumieją i nie wszyscy pójdą tą drogą. Ale na pewno dość jest tych, którzy tylko prawem bezwładu podlegają wpływowi swego otoczenia, zmuszają się do chodzenia drogami jakiejś nadpoezji, mimo że ich prawdziwa natura buntuje się przeciw temu. Przyjdą jednak młodzi i pójdą zupełnie tym nie obciążeni. A tym tego rodzaju głos, jak nasz, napewno pomoże dostać się na właściwą drogę. Wolker nie jest sam tego przykładem. Który z innych poetów jeszcze w nas żyje i który z nich potrafił wypowiedzieć słowo żywe? S. K. Neumann, Józef Hora w swoich najlepszych latach. A gdzie jest Jerzy Karasek ze Lwowic, gdzie Arnoszt Prohazka i im podobni poeci ponadczasowi? Pamięć ich zachowują tylko muzea literackie.

I dlatego wołamy do młodych i najmłodszych, którzy przychodzą: uczcie się u Wolkera. Jest się tam czego uczyć. Nie po to, by naśladować, ale po to, by rozumieć, czym jest żywa rzeczywistość dla żywotności, siły i artyzmu poezji, czym jest także i dla dzisiejszej poezji zapuszczenie głębokich korzeni w żyzną glebę życia narodowego i narodowej kultury. I dlatego: nie „dość Wolkera“ ale „więcej Wolkera!“.

Zdeniek Nejedly

OLGA SCHEINPFLUGOVA

Śmierć Karola Czapka

Rozstrzygnęła więc Anglia los Czechosłowacji dumnym gestem rozjemcy, który oddaje zbójom chatę sąsiada, byle obronić swą własną zagrodę. Najbardziej poniżający w dziejach Europy akt w Monachium podpisała z jednej strony mocna i dyktująca ręka Hitlera, z drugiej — trzęsąca się prawica krótkowzrocznego lorda. Francja otrzymała polecenie odesłania zmobilizowanych żołnierzy do domu...

Oto była pierwsza pogańska ofiara, jaką chrześcijański Zachód złożył napawającemu go przerażeniem faszyzmowi.

W Pradze nastał tragiczny, rozpaczliwy chaos, który nie powinien był zamienić się w panikę...

...Pobladły i przygarbiony Karol Czapek należał do tych, których mózg już dawno zrozumiał, lecz uczucie jeszcze nie mogło uwierzyć. Jak dziecko jeszcze w coś wierzył — chociaż jego filozoficzny umysł już przed dwudziestu laty dokładnie prorokował perspektywy i klęski tej skłóconej, zmechanizowanej i bezdusznej doby. Z kroplami potu na jasnym czole walczył o resztki wiary w honor i zdrowy rozum grzęznącej w marażmie Europy.

— Przytrzymali napadniętemu ręce, by nie mógł się bronić. I w ten sposób kwestię zlikwidowali — mówił z rozpaczą.

Tłumy huczały, raz po raz padały nazwiska domniemanych zdrajców czy obrońców. Lada chwila świat się zawali i stanie się coś strasznego... Domy już jakby straciły barwy, stały wydane na łup zbójeckim, faszystowskim hordom. Dziś czy jutro przyjdą aż tutaj, „Sudety" były tylko pretekstem, publicznym i szyderczym wydaniem kluczy do całego kraju.

Czapek płonął jak w gorączce.

— Jestem po prostu zmiażdżony, czuję się tak, jakby ze mnie wyciekła wszystka krew, trzewia, mózg, wszystko... Jakby po mnie przebiegło stado spłoszonych byków... Nie, nigdy dotąd nie buntowałem się, ale teraz mi się wydaje, że nic już tu nie mam do roboty. Czasem nawet trzeźwy i opanowany człowiek musi się zastanowić nad tym, czy nie powinien się zabić...

Po paru długich godzinach siedzenia bez ruchu, po najstraszliwszym jaki kiedykolwiek przeżył kryzysie — uśmiechnął się pobladłą twarzą.

No tak, umrzeć potrafi każdy, ale nie każdy może sobie na to pozwolić. Trzeba dalej ciągnąć swoje taczki, chociażby to były i taczki śmierci. Trzeba się do nich zaprzęgnąć. Przegrana sprawa także wymaga pełnienia ciężkiej służby. Byle tylko mieć dość siły, by ją wziąć na swe barki!

Poprosił o trochę czarnej kawy. Usiadł w małym gabinecie i ręką, która po raz pierwszy dygotała lekko, napisał „Modlitwę owego wieczoru".

„Modlitwa", którą napisał w godzinie klęski, pobiegła w świat w różnych językach, dotarła do niepodeptanych jeszcze butem faszystowskim narodów — lecz w kraju wzbudziła szyderstwo i rozdrażniła wrogów.

Wraz z nowymi granicami państwa musieli przyjść i nowi ludzie. Monachium zabrało nie tylko kawał ciała narodu, ale także ducha i serca. Wszystko, co reprezentowało wartości narodowe czy państwowe, miało być złamane, zmuszone do milczenia lub usunięte. I nie trzeba było wcale wskazywać ofiar, wystarczyło tylko dopuścić do władzy najbardziej nieprzejednaną opozycję w stosunku do demokracji, Masaryka, a ta już gorliwie postarała się o wszystko dalsze. Z niewolniczo zgiętym karkiem przed faszystowską władzą, której chcieli się przypodobać, z zaciśniętymi pięściami z nienawiści do wszystkiego co demokratyczne — nowi przywódcy nieszczęsnego narodu zaczęli szerzyć kult klęski i lokajstwa w postaci absolutnie nie do przyjęcia dla żadnego czeskiego umysłu. **Zaczęło bryzgać** błoto partyjnej małości i nienawiści. W prasie zaczęto ludziom, zajmującym stanowiska w przeszłości, wytykać błędy, popełnione w stosunku do faszyzmu i potężnej Trzeciej Rzeszy.

Lecz wtedy Karol Czapek, człowiek z chorym kręgosłupem, nie pochylił się ani nie nagiął: pisał, walczył, bronił i wzywał do zachowania wartości moralnych, do odwagi nazywania rzeczy nikczemnych po imieniu. Stanął do walki silniejszy i bardziej zdecydowany niż kiedykolwiek, wychudły i śmiertelnie zgnębiony pisał artykuł za artykułem, odezwę za odezwą — stając twarzą w twarz dzikiej, morderczej bestii, która czyhała niemal tuż przed jego domem.

— Mały naród może się bronić tylko swoją siłą moralną — mówił głośno do obcych i swoich wrogów sprawy czeskiej.

Szeregi jego nieprzyjaciół gęstniały jak ciemna chmura.

Dla zdrady, dokonywanej na nieugiętości czeskiego ducha, rozzuchwaleni nowi przywódcy znaleźli wreszcie odpowiednie określenie: „Odrodzenie"! I by kłamstwo to mocniej oddziaływało na masy, dodali do tego najbardziej sponiewierany przymiotnik „narodowe". Za okres swej pracy wybrało ono dwa odcinki: politykę i sztukę. Zaczęło się schlebianie niemieckim mordercom; wszystkie wartości przeszłości zostały okrzyczane jako „przesądy".

Karol Czapek z grymasem obrzydliwości odsuwał od siebie wraz z gazetami całe te rozszczekane stado szakali, żerujące na cmentarzysku powalonego państwa.

— Ja już, oczywiście, nie potrafię się „odrodzić" — śmiał się gorzko i spokojnie zabierał się do dalszej pracy.

— Było zupełnie jasne, że republika walczy z ciężką chorobą, która powtórzy się następną recydywą i skończy się śmiercią.

* * *

Rano gdy szedł do pracy spostrzegła, że z jakimś niezwykłym znużeniem wstępował po schodach na poddasze.

— Powinieneś się położyć — zauważyła zatroskana.

Zbył ją uprzejmym uśmiechem.

— Leżąc nie można pisać. No, dowidzenia.

W południe nie tknął obiadu. Teraz już wyraźnie było widać, że wygląda marnie, jakby mu się od dnia wczorajszego zmieniła twarz, ręce i wyraz oczu.

— Nie bój się — uśmiechał się nie mogąc znieść jej troskliwości. — To tylko się tak we mnie zbiegło wszystko naraz: cały ten straszliwy rok, wszystkie te obrzydliwości, cała praca, wysiłek i niesmak... Ale muszę dokończyć — szepnął cicho pobladłymi usty — nie mogę sobie teraz pozwolić na chorowanie. Zbyt wiele bym stracił na takiej przerwie.

— Najgłówniejsze już przecież napisałeś...

— Zdaje się, że tego najgłówniejszego człowiek nigdy nie napisze. Nie, to jest po prostu nie możliwe...

Wieczorem był lekarz. — Na rano sprowadzę profesora. Nie podoba mi się to.

— Więc niech pan go sprowadzi zaraz, a nawet dwóch czy trzech...

— Nie trzeba go straszyć...

Krótki ten dialog przerwał atak suchego, urywanego, złowieszczego kaszlu.

— Ma takie wielkie i pełne ciekawości oczy — ciągnął lekarz. — Gdy mówię, stale spogląda na moje usta, jakby widział i czuł każdą moją utajoną obawę.

Obawa, utajona obawa!

Kaszel straszliwie męczył go i osłabiał, uspokajające środki nie pomagały.

Pod wieczór zauważyła koloryt jego twarzy: pobladł, a pod oczami rozlał się straszliwy szafir cieni. Spojrzenie zdradzało źle skrywane przerażenie, ręka w jej ręku ziębła.

— Co ci jest, co się stało?

— Boleści — przyznał się z goryczą, jakby przechodził przez bramę upokorzeń. — Chyba jakaś gwałtowna neuralgia klatki piersiowej. Wprost wytrzymać trudno. Wezwij Gala, ale na razie nikogo innego.

— Kiedy się to zaczęło? — pytał cicho doktór.

— Jakieś półtorej godziny, ale początkowo nie było tak źle.

Bóle na chwilę uspokoił lek, ale ataki kaszlu powtarzały się coraz częściej.

— Trzeba wziąć pielęgniarkę — oświadczył lekarz poważnie.

— Przerazi się — odpowiedziała pobladła i spłoszona.

— Już ja go na to przygotuję. I za chwilę już mówił najnaturalniejszym tonem: — Aleś się ty urządził biedaku! Taki bronchit i to na same święta. Że też ci nic lepszego na myśl nie przyszło! Akurat w tym momencie, kiedy my lekarze mamy pełne ręce paczek i obowiązków rodzinnych a każda służąca chce iść do swoich krewnych. No, postaram się o jakąś pielęgniarkę z sanatorium. Może mi ją dadzą, z tego względu, że to ty chorujesz na grypę, a może także i dlatego, że im przez cały rok dostarczasz pacjentów...

Chory machnął lekko ręką. Nie było nadziei, by mógł choć chwilkę się zdrzemnąć w wyczerpującej pozycji siedzącej. Doktór Gal oświadczył, że idzie zatelefonować do domu. Weszła za nim do saloniku i bez słowa zatrzymała się przed nim. Stali tak naprzeciwko siebie, porozumiawszy się od razu pierwszym spojrzeniem: z jego oczu padł cios — ona go przyjęła. Z wąskich oczu trysnęły dziecięce strumienie łez, skurcz straszliwego żalu wykrzywił mu usta... Chciał coś powiedzieć, lecz głos zamarł mu w ściśniętym gardle...

— Ale on się tak straszliwie boi — wykrztusiła z rozpaczą, nie myśląc nawet o swojej stracie. — Jezus, Maria, to... To przecież niemożliwe, żeby...

— Trzeba zawsze ufać... — głos Gala był bez barwy, bez nadziei. Powoli przywołał do porządku wyraz swej twarzy po pierwszym ataku rozpaczy, na jaki sobie w życiu pozwolił. A potem ujął ją za ramię. — Tak, on się boi, ale od tego ty tu jesteś! — rzekł rozkazującym tonem z poważnym spojrzeniem oczu. — Może właśnie dlatego Bóg uczynił cię jego żoną, byś wytrwała przy nim do końca, byś go przeprowadziła przez ten jedyny jego niepokój i lęk! Rozumiesz?

— Czy... czy już nie ma nadziei?

— Pozostaje tylko ona. Ale przy jego słabych siłach i przy chorym kręgosłupie... Przecież my dwoje nigdyśmy sobie nie kłamali...

Kaszel przerwał ich szepty, stłumił grozę. Teraz nie wolno już było myśleć o niczym innym, tylko o jego udrękach. Trzeba było się przemóc.

Pokaszliwał ciągle, zmęczony długim siedzeniem bez oparcia i brakiem snu. Przeraźliwie i powoli ciągnęły się godziny tej pełnej choroby i przerażenia nocy. Potęga śmierci zawisła w ciemnym pokoju.

* * *

— Ma pan obustronne zapalenie płuc — mówił profesor poważnie. — Takiemu, jak pan inteligentnemu człowiekowi nie będę przecież wmawiał głupstw.

Wielkie oczy zatrzepotały i pokornie przyjęły wyrok.

— Tak przypuszczałem — ledwie skinął głową i trochę się zaniepokoił — ale ja tego nie przetrzymam.

— Musi pan! — odpowiedział profesor rozkazującym tonem. — Chodził pan z tym już dobrych parę dni. Tkwiło to w organizmie a teraz wybuchło. Najważniejsza rzecz to spokój, nie rozmawiać i dużo świeżego powietrza.

— I podał mu rękę, jakby życzył powodzenia w tej najtrudniejszej walce.

Otwarło się szeroko okno na zamarznięty ogród; w chłodnych gwiazdach czaiło się coś niby zapowiedź świtu. Doktór Gal objął straż przy łóżku. Powoli zbliżał się ciężki, męczący ranek, który z kolei robił miejsce dla milczącego dnia.

— Gazety — rzucił naraz udręczony głos w momencie chwilowej ulgi po zastrzyku.

— Powinieneś mieć spokój — zaprotestowała, ale poszła po nie.

Dziś jeszcze mogła mu je dać, jutro będzie już w nich wiadomość o stanie jego zdrowia, wiadomość niedobra, która może...

— Tylko niedługo, masz tak niewiele sił...

— Jutro będę ich miał jeszcze mniej.

Była to gazeta ludowa. Zapóźno spostrzegła własną nieostrożność.

„Karol Czapek w tajnym kontakcie z emigrantami politycznymi", ryczały wielkie litery. „Karol Czapek..."

Blade policzki chorego pokryły się przelotną czerwienią, nastąpił ciężki, męczący atak kaszlu.

— To już nikczemność — szeptał znużony. — Tu już nie chodzi o mnie, ale o fatalne i szkodliwe następstwa, jaki fakt ten mieć będzie. Ah, gdybym tak jeszcze mógł wstać i powiedzieć im, co o tym myślę... Powiedzieć zdrowymi płucami...

Łapał powietrze krótkim, urywanym oddechem. Męka niewygodnej pozycji siedzącej trwała już zbyt długo, lecz chorego niepodobna było czymkolwiek podeprzeć, gdyż przy najmniejszym odchyleniu w tył ataki męczącego kaszlu stawały się coraz cięższe. Przez otwarte okno do ciepłego pokoju wpłynęło lodowate powietrze.

Czterej lekarze opuścili w wieczór wigilijny swoje domy, by walczyć i podtrzymywać injekcjami słabe serce artysty.

— Ah, żebym się tak mógł chociaż na pięć minut położyć, mój Boże!

Nikt nie wspomniał o wigilii, nikt nie wziął kęsa do ust. Zatrzyki ceraminy, zostawione przez profesorów, powtarzały się. Obok w pokoju stał przygotowany aparat tlenowy.

Twarz chorego dziwnie się zapadała i zmieniała w miarę płynących godzin straszliwej udręki. Temperatura ciała opadała coraz niżej, trzeba było chorego ogrzewać butelkami z gorącą wodą. Patrzył na to wszystko z pokorą, jak dziecko, które cierpi i znosi coś zupełnie niepotrzebnego z woli dorosłych.

Świt powlókł wszystko nową warstwą wyczerpania i zmęczenia.

— Jaki dzisiaj dzień? — spytał cicho.

— Boże Narodzenie, ale oddychaj i nie mów.

Kaszel zelżał nieco, ataki nie powtarzały się już tak bezustannie i z taką gwałtownością.

— Zdaje się, że już trochę lepiej — cieszyła się.

— Nie zapeszyć — rzekł chory przesądnie, ale było oczywiste, że po raz pierwszy obudziła się w nim nadzieja.

Profesorom rozjaśniły się oczy.

— Zapalenie płuc po obu stronach ustępuje. Jest lepiej!

Po zmęczonej twarzy chorego przebiegł lekki cień radości. Pokornie zgodził się wypić rosół i odrobinę wina, chociaż jedzenie wstręt w nim budziło.

— Już nie wytrzymam siedzieć tak bez oparcia — skarżył się chory — posadźcie mnie na fotelu. I spać, chociaż chwileczkę spać...

— Jest lepiej — tłumaczył siostrze doktór Gal. — Teraz tylko: jeżeli serce wytrzyma...

— Serce miał zawsze zdrowe...

— Może. Ale w ostatnich czasach, za dużo się nań zwaliło; jest słabowity a walczył, jakby był z żelaza...

W południe zażądał czarnej kawy; pił ją ze smakiem, a nawet żartował, co dodało wiary otoczeniu. O godzinie drugiej serce zaczęło słabnąć, pot spływał z lodowatego czoła. Profesorowie nakazali ciszę i zwiększyli dawki zastrzyków. Nadzieja chyłkiem uciekała z wszystkich kątów i z ludzkich twarzy. Tętno spadało, siły rozpływały się w chaosie wszchświata.

Obok w pokoju stali trzej lekarze; widać było, że już im ręce opadły.

— Czy to koniec — spytała.

Nie dostała odpowiedzi, nikt nawet nie ruszył ramionami. Powróciła do chorego. Jego twarz to były już tylko oczy i cienie, zarysowane śmiertelnym cierpieniem.

O godzinie trzeciej nastąpił pierwszy kolaps. Lekarze zastosowali nowe dawki zastrzyków. Powróciwszy do przytomności, chory mętnym spojrzeniem powiódł po otoczeniu.

— Widzisz, już usypiałeś, nareszcie, po czterech dniach bez snu... — oświadczyła mu triumfalnie.

Skinął głową i... uwierzył. Obok w pokoju szeptali lekarze, służba dostała polecenie wyłączenia dzwonków i zamknięcia drzwi. Cisza zaniepokoiła chorego, rozejrzał się po twarzach obecnych.

— Dlaczego tu się tak zrobiło cicho? Co wyście wszyscy poszaleli? — w oczach jego czaiła się już bezdenna pustka nicości.

— Dosyć się tu już robiło hałasu — głos jej brzmiał poważnie — nie mógłbyś inaczej usnąć. A ty już teraz musisz spać. Dostałeś jakieś proszki, więc teraz będziesz spać, cały dzień i całą noc. Nie usnąłbyś, gdybyśmy tu rozmawiali.

Znowu uwierzył i jak dziecko posłusznie skinął głową. Głowa bezwładnie opadała do przodu, tułów siedzącego z trudem utrzymywał równowagę.

— Chciałbyś czego? — podsunął się uśmiechnięty doktór Gal.

— Papierosa? — odpowiedział żartem, by mu sprawić przyjemność, chociaż nie mógł już w płuca wciągnąć normalnego, ludzkiego oddechu.

— O, z tym to jeszcze poczekasz — wtrąciła żona, udając że nie rozumie dowcipu.

— Nie dokuczaj mu — skarcił ją lekarz. — No, już teraz nareszcie uśnie, patrz, jak mu się kleją oczy.

O godzinie szóstej z trudem przyprowadzili go raz jeszcze do przytomności. Oddech skracał się coraz bardziej, oczy przysłaniała ledwie widoczna mgła. Straszliwy ból przebiegał przez ciało, wykrzywiał twarz.

Umarł o godzinie trzy na siódmą.

* * *

W dzień wejścia Niemców do Pragi wracała z cmentarza. Przed jej domem stało trzech wyrostków z opaskami, oznaczającymi nową władzę nad światem. Bardzo srogo i bardzo stanowczo spytali o Karola Czapka. Po raz pierwszy chyba od momentu, gdy owdowiała — uśmiechnęła się.

— Przecież on już nie żyje! — rzuciła z triumfem.

Zajrzeli do papierów i coś sobie przypomnieli. Widocznie mieli jeszcze stare spisy. Jej żałobny welon bynajmniej ich nie zawstydził. I poszli dalej: chwytać, dławić i mordować ducha czeskiej wolności...

Z czeskiego przełożyła
Jadwiga Bułakowska

Rysunki wykonał Walter Brzoza

partyzanta

trafił do jego ust i Baca począł go żuć razem z papierkiem. Głowa znalazła sobie dołek i ugrzązłszy w nim, nie miała już siły podnieść się wyżej.

W jakiejś chwili wydało mu się, że księżyc zeskoczył na kopicę, z kopicy na trawę i toczy się do niego, jak pchany wiatrem kapelusz. Coś niezmiernie miłego łechtało Jędrka w szyję i Baca uszczęśliwiony mrucząc:

— Chodź bliżej, Zośka — przewalił się twarzą i piersiami do siana, kołujący szum objął głowę i całe ciało osunęło się w upajającą błogość.

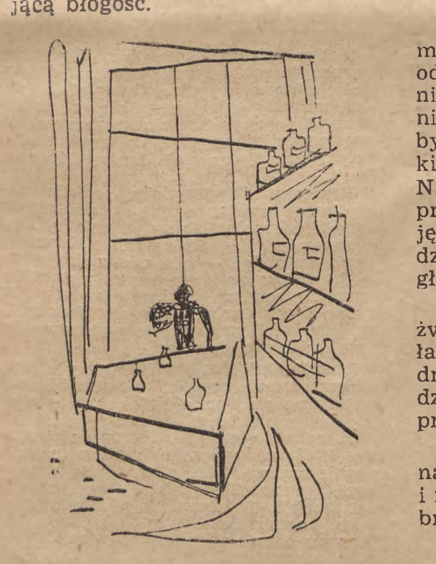

Coś się działo. — Jego rozbita świadomość była atakowana ze wszystkich stron. Kłębiący się wokół chaos napierał na nią. Naraz kręgosłup przeszyła mu iskra bólu i wtedy uchwycił pierwszą rzecz: stał na nogach. Potem przyszło uderzenie światła w oczy — oślepiony przymknął na moment powieki. Bezkształtny, przelewający się wokół niego chaos został zatrzymany: pojął, że głosy, które słyszy, mówią w obcym języku. Lęk zmusił go do otwarcia oczu. — Światło latarni uskoczyło w bok. Baca ujrzał nad sobą łuk daszka oficerskiej czapki, straszliwe uderzenie pięścią między oczy rzuciło mu głowę do tyłu i potem zapadła ciemność.

Ocknęło go drżenie ziemi. Leżał na czymś twardym. Poruszył się, odczuł w głowie ból od uderzenia i otworzył powieki.

Z ciemnego granatu zwisały nad nim gwiaździste koła i dyszel Wielkiego Wozu. Leżał pod nim na jadącej furmance twarzą do nieba. Poderwał się, ażeby usiąść i kark skuło mu przerażenie: był bez broni, — ręce miał związane — obydwa empi, które miał na szyi i pistolety z kieszeni, zniknęły. W gardle i żołądku paliło go. W ustach miał obrzydliwy smak lekarstwa.

— O bezkurcyje — jęknął z żałością. Trzy pistolety i obydwa empi zabrali. — Natężył obolały mózg, chcąc sobie przypomnieć, jak to się wszystko stało i w pamieci odżyło mu uderzenie, które dostał po ciemku w twarz. Wściekłość zdławiła mu oddech. O psie ścierwa — poczekajcie! Przypadł piersiami i twarzą do dna wozu i znieruchomiał.

Do furmanki zbliżały się kroki i głosy. Jędrek leżał z głową wtuloną w ramiona, wysilając słuch. Niezrozumiałe słowa tuż nad jego głową:

— Deserteur...

— Oder Bandit...

— Unmöglich — beim ihn gabs drei Pistolen und zwei Maschinenpistolen...

Głosy oddaliły się. Teraz z dołu słychać było szum strumienia; jechali nasypem. Jędrek dźwignął się i wystawiając ostrożnie głowę, rzucił spojrzenie. — Wózek poprzedzały cztery inne furmanki. Obok konia szedł żołnierz, trzymając w ręku lejce. Za nim postępował drugi Niemiec. — Baca cofnął głowę, i rozciągnął się na dnie wozu. Słyszał, jak woźnica podchodzi do furmanki. Szarpano go za ramię. Nie odmykał oczu udał jak największy bezwład. Jego głowa za każdym wstrząsem uderzała twardo o dno wozu. Szarpanie ustało.

Śmiech.

— Schläft. Besoffen wie ne Sau.

„Bodajeś zdechł bezofie" — pomyślał Baca, gdy kroki odeszły od wozu. Ostrożniej i chytrzej, niż za pierwszym razem, podniósł głowę. — Przy koniu nie było nikogo. Niewyraźne sylwetki woźnicy i towarzyszącego mu Niemca zbliżały się do żołnierza, prowadzącego drugi wóz. Byli zajęci rozmową. Głosy ich dochodziły do Jędrka, stłumione odległością.

Koła zgrzytały, ocierając się o żwir. Furmanka z Bacą dojeżdżała do zakrętu, gdzie rosła grupa drzew. Rozłożyste gałęzie lipy oddzielały ją teraz od jadących na przodzie wózków.

Baca z bijącym sercem kucnął na dnie wozu. Zebrał się w sobie i rzutem ciała przewiesił się przez brzeg furmanki.

Leciał w dół. Ostry ból trysnął mu tysiącem gorących igieł w ciele — spadł na jeżyny. Zerwał się i rzucił pomiędzy krzaki do ucieczki. Zboczem nasypu wlokły się poplątane, kłujące witki ostrężyn. Łapały go za ubranie, za nogi, rozdzierały skórę do krwi. związane ręce tamowały ruchy. Półprzytomny rzucał się naprzód, przedzierał przez krzaki, walił na nie, staczał w dół i skłuty, rozjuszony wściekłością i strachem zrywał z powrotem. Chwiejąc się na nogach, zdyszany dobrnął do strumienia; tutaj stanął.

Pod nogami miał piasek, olchy i wierzby zasłaniały bieg koryta, szeleściała woda. Teraz dopiero poczuł, że uda, piersi i plecy ma w ogniu. Po poranionym ciele spływał gorący pot. Podniósł do ust ręce oblepione od pociekłej z zadrapań krwi i zaczął targać zębami sznur. Z drżeniem, nie przestając obrabiać zębami węzła, wszedł w wodę. Sparzyło go lodowate zimno. Cofnął się i ocierając łokciem lejący się z czoła pot, podniósł wzrok w górę. Nad jego głową wisiał wielki wóz. „Ciągle jestem pod wozem" — pomyślał ale jakgdyby nabrawszy otuchy ze światła gwiazd, uczynił związanymi rękoma na piersiach krzyż i wszedł w wodę.

Otoczyła go, sięgając mu po pas. Kłucie mrozu przeszło rozpalone przed chwilą ciało i mięśnie zaczęły sztywnieć. Woda wżerała się w poranione miejsca, docierając zimnem do kości. Związane ręce utrudniały jeszcze bardziej ucieczkę niż na stoku. Szedł jak ślepy, rozstawiając szeroko nogi; każde uderzenie prądu groziło straceniem gruntu pod stopami i zwaleniem się do wody. Brnął balansując ciałem, ażeby schwycić równowagę i dygocąc ze strachu:

— Jezusie Maryjo — modlił się. —Psiekrwie sobacze, wszystko mi zabrali. — Naraz noga wpadła mu w dół i z przerażeniem poczuł, że lewe kolano chwyta drętwota. Był na środku strumienia. Co krok natrafiał teraz na wyrwy, buty grzęzły w piasku. Niechbym upadł, to mnie zaleje na amen... Potknął się znowu, runął na oślep dwa kroki i zapadł po piersi. Lodowaty prąd bił w brzuch, ciało drętwiało. Dzwonił zębami. — Już, Mario, nie wylezę z tego — już mnie zmogło. Próbował posunąć się do brzegu, ale nogi nie dawały się podnieść. — Za chwilę padnę — pomyślał ze strachem. Rozejrzał się: strumień szumiał, niebo rozsypywało miałkie migotanie nad jego głową. Świecący wóz stał nad drugim brzegiem strumienia; Jędrkowi mignęła w głowie myśl, że wyciąga on umyślnie w jego stronę dyszel po to, aby się go uchwycić...

Naraz do uszu doleciało ujadanie psa. — Puścili wilczura na trop!... — rzucił się jak oszalały naprzód. Zapadł z głową, ścięło mu oddech, przez chwilę zdawało się, że lód rozsadzi mu płuca. Posłyszał znów szczekanie psa, wyrwał się i oślepiony, bez przytomności dopadł brzegu. — Woda sięgała tu do łydek i szemrała płytko.

Całe ciało dygotało, dzwonił zębami, w głowie zapalały się i gasły iskry.

— Nie zostawiać śladów na piasku... — kołatała ostatnia przytomna myśl.

Z wysiłkiem powlókł się korytem kilkanaście kroków w dół — chciał dobrnąć do wzgórka, na którego szczycie czerniał domek — ale brakło mu sił. Upadł na kupę zgniłych, zwalonych na brzegu liści. Gramolił się, gdy nagle jakiś ciężki kształt zwalił go z nóg. Rozległo się ujadanie i ciepły język dotknął rąk Bacy. Pies umknął ze skowytem, zawrócił i popędził z powrotem ku domowi.

Baca rozgrzebał liście i tyle, że zdążył zapaść w wygrzebany dół, poczym zemdlał.

* * *

Dwaj żandarmi, stojący na podwórzu domu pokazywali ze śmiechem na wilczura, który skowycząc, rwał się ze smyczy ku maciorze, zawalającej sobą wejście do chlewika.

Był jasny ranek. Po podwórzu z przekrzywioną na bok szyją chodziła gęś; zatrzymała się nad znalezionym ziemniakiem i podniósłszy w górę łebek rozdarła głośnym gęganiem powietrze. Na ganku z zaplecionymi pod fartuchem rękoma stała wystraszona żona kolejarza.

Żandarmi opłaciwszy sobie trud poszukiwania zbiega złotym zegarkiem zabranym kolejarzowej z ręki i flaszką spirytusu znalezioną w szafie, ładowali się na bryczkę, zabierając opierającego się wilczura. Nie znalazłszy nigdzie na brzegu śladów uciekiniera, żandarmi byli zgodnego z opinią wehrmachtowców zdania, iż zbiegły z wozu więzień musiał utonąć w strumieniu.

W dwie godziny po odjeździe żandarmów, kolejarz przepchnął się obok świni do chlewka i szepnął w stronę ruszającej się górki słomy:

Musi pan do nocy zaczekać. Na wieczór przyjadą nasi od Powały zabierać cielaka, to powie im się wszystko... — I obejrzawszy się na ociekający, mokry od żarcia ryj, wymówił ze wzruszeniem:

— Ano, jak się Bogu spodoba, to i świński tyłek nakieruje człowiekowi do pomocy. Przecie ta gadzina tak się rozwaliła na progu, że ani rusz było ją z niego zepchnąć. Inna rzecz, że gdyby nie nasz Zagraj — ujadał bestia, aż trzeba było wyjść po nocy na dwór — to byśmy was w tej kupie nie znaleźli, i rano rozszarpały by was tamte bestie.

Natalia Rolleczek

JAN REYCHMAN

Literatura polska

w krajach Europy połódniowo-wschodniej w latach 1939-45

Kraje Europy Południowo-Wschodniej w latach minionej wojny stały się wszystkie terenem ekspansji hitlerowskich Niemiec. Ale o ile rządy tych krajów w większym lub mniejszym stopniu uległy Niemcom, lub też Niemcy siłą je sobie podporządkowały, o tyle ludy pozostały obce duchowi hitlerowskiemu, starając się we wszelki możliwy sposób okazać mu swą wrogość. Jest rzeczą ciekawą, a mało dotąd w Polsce znaną, że w latach minionej wojny we wszystkich krajach Europy Południowo-Wschodniej, mimo nacisku hitlerowskiego, przejawia się silne zainteresowanie literaturą polską. Zainteresowanie to jest jednym z objawów biernego oporu pod adresem Niemiec, jest formą wyrażenia swej solidarności z pierwszą ofiarą drugiej wojny światowej.

Zainteresowanie literaturą polską w krajach Europy południowo-wschodniej w latach 1939 — 1945 miało rozmaity zasięg, zależnie od reżimu danego kraju. Nawet bowiem te zainteresowania literackie nie były przez Niemców mile widziane i z największym nieraz trudem, myleniem cenzury, prace te czy przekłady mogły być opublikowane.

Brak polskiej prasy literackiej w kraju w tych latach, zupełnie inny kierunek zainteresowań, spowodowały, że rzeczy te przeszły prawie bez echa. Tym nie mniej należy — choćby dla ścisłości bibliograficznej — zarejestrować te ciekawe próby, te dowody ekspansji ducha polskiego. W latach, gdy Polska leżała pod butem hitlerowskim, gdy wróg zaprzeczał istnieniu państwa i pragnął zniszczyć naród polski, kultura polska w dalszym ciągu wywierała swój wpływ, dawała dowody swej żywotności tuż pod bokiem hitlerowskich Niemiec w samym sercu Europy.

Zaczynając od **Czechosłowacji** to odmienny zupełnie reżim powodował inne zupełnie możliwości w Czechach a inne w Słowacji. W Czechach nacisk gestapo był silny i wszelkie zainteresowania literaturą polską narażone były na konfiskatę. Znany historyk literatury polskiej K. Krejczy ogłosił parę prac na temat pisarza czesko-polskiego z XVII wieku **B. Paprockiego,** ale monografia o nim została w r. 1941 odrzucona przez cenzurę Protektoratu i dopiero w roku 1945 po wyzwoleniu doczekała się druku. Znana tłumaczka literatury polskiej Teigova przygotowała też przekład **„Dziewcząt z Nowolipek" Gojawiczyńskiej,** ale ogłosić go dopiero mogła po wojnie, w 1946 r.

Za to w **Słowacji** pewną swobodę w dziedzinie kulturalnej, jaką Niemcy pozostawili „tisowej" Słowacji, wykorzystano dla kontynuowania tej tradycji kontaktów kulturalnych z Polską, która od wielu lat tak głęboko zapuściła tam korzenie. Na półkach księgarskich ukazało się wiele nowych przekładów dzieł polskich. Znany sprzed wojny tłumacz Mikołaj Stano dał w tym czasie nowe tłumaczenia **„Quo Vadis" (1942), Kossak-Szczuckiej „Upartego chłopca"** i **„Bez oręża"**, oraz **„Szaleńców Bożych"** (to ostatnie wydane już po wyzwoleniu). A. Hilbrycht przełożył **Szczuckiej „Puszkarza Orbana"** (wyd. w 1942). Wyszło też nowe wydanie przekładu **„Faraona"** dokonanego przez tego samego Stano. W roku 1943 wyszedł przekład **„Nieboskiej Komedii"** dokonany przez A. Żarnova, znanego z pięknych przekładów sprzed wojny, niestety skompromitowanego w 1938 r. antypolskim stanowiskiem, a podczas wojny wysługiwaniem się faszystowskiemu rządowi. Przekład „Nieboskiej" zaopatrzony został w przemowę St. Mecziara, znawcę literatury polskiej, niestety też w czasie wojny skompromitowanego kolaboracjonizmem.

Wyszło też wiele rzeczy popularnych dla młodzieży itd. jak np. **Rosinkiewicza „Huncut"** i **„Vlastnymi silami"** (oba w 1943), **Janusza Korczaka żywot Pasteura, Mossoczowej „Za tysiąc lat"** (wydane już po wyzwoleniu), mniejsze utwory **Makuszyńskiego, Ossendowskiego** i in.

Z prac dotyczących literatury polskiej wymnienić należy pracę dawnego stypendysty warszawskiego, obecnie jednego z wybitniejszych działaczy na polu kulturalnym obecnej Słowacji Rudolfa Brtania „Barokovy slavizmus" (1941). W swej ciekawej pracy Brtań zajmuje się obszernie „słowiańską postacią baroku literackiego", poświęcając i dużo miejsca polskim pisarzom z doby baroku jak **Sarnickiemu, Dębołeckiemu,** ówczesnemu „mesjanizmowi" **(Starowolski)** i duchowi ówczesnej literatury polskiej z epoki baroku.

Warto też wspomnieć, że w r. 1940 ukazała się w Bratysławie praca zmarłego niedawno profesora tamtejszego uniwersytetu, Rosjanina **E. Perfeckiego „Historia polonica Jana Dlugosza a nemecké letopisectwo"** o stosunku kroniki Długosza do niemieckich kronik.

Silnym terenem zainteresowań literaturą polską w latach wojny były **Węgry.** Parę prac literaturze polskiej poświęcił młody historyk literatury St. Csapláros, zajmujący się specjalnie **dziejami związków literackich węgiersko-polskich**. Z jego prac wydanych w czasie wojny wymienić należy „A magyarság lengyel tükörben" w piśmie „Debreceni Szemle" w roku 1940, gdzie autor zajmuje się **wizerunkiem Węgier i Węgrów w literaturze polskiej,** następnie „A mult szazad lengyel irodalom Magyarországon", Budapeszt 1941 **o literaturze polskiej na Węgrzech w XIX wieku;** praca ta rozszerzona i na inne wieki została następnie w r. 1943 wydana na powielaczu pt. „A lengyel irodalom Magyarországon" (Literatura polska na Węgrzech). Przyczynki dr Csaplarosa w zupełnie nowym świetle ukazują wpływ i promieniowanie literatury polskiej na Węgrzech w XIX wieku. Dalsze prace tegoż autora pozostały w rękopisie i mogły być wydane dopiero po wyzwoleniu.

Pewną uwagę wzbudził podczas wojny na Węgrzech przypomniany przed wojną u nas poeta XVI wieku **Czahrowski,** który znał Węgry i wstawiał glossy węgierskie w swe utwory. O pracy Mikulskiego o Czahrowskim ukazało się parę recenzji m. in. Waldapfla. Czahrowskiemu poświęcił parę przyczynków T. Csorba m. in. większą rozprawę „XVI szazadi lengyel katona költö Magyarországon" (Budapeszt 1942). Tenże T. Csorba ogłosił już podczas okupacji niemieckiej większą pracę **o mecenacie kulturalnym Batorego.** Małą rozprawkę **„Mickiewicz, Paderewski, Sienkiewicz"** ogłosił znany działacz na polu polsko-węgierskiego zbliżenia kulturalnego Jan Kertész, który zginął jako ofiara hitleryzmu w 1944 r. W 1943 ukazał się przekład **„Vae Victis" Orzeszkowej,** przygotowany przekład całości **„Pana Tadeusza"** przez J. Sziklaya nie mógł doczekać się druku.

W **Rumunii** w pierwszym okresie literatura polska miała jeszcze dużo możliwości. W Instytucie Polskim w Bukareszcie wydane zostały przekłady **„Nieboskiej Komedii" Krasińskiego, „Odprawy Posłów Greckich"** i **„Trenów" Kochanowskiego** w tłumaczeniach p. Giamo, Dumitrascu (Cioranescu) Rodiki Ciocan z przedmowami T.

(Dokończenie na stronie 4)

Prapremiera „KOMEDII" Andrzeja Wydrzyńskiego w Państwowym Teatrze Śląskim w Katowicach

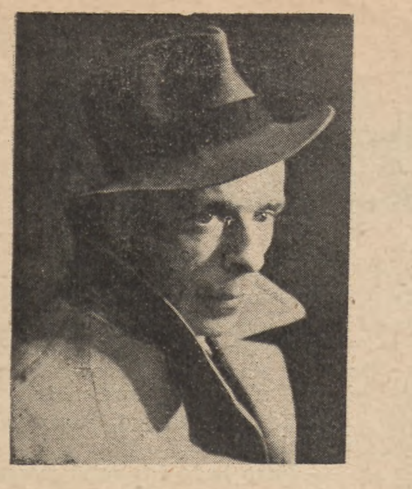
Jerzy Merunowicz jako Edward

Halina Cieszkowska jako Anna

Rudolf Gołębiowski jako Piotr

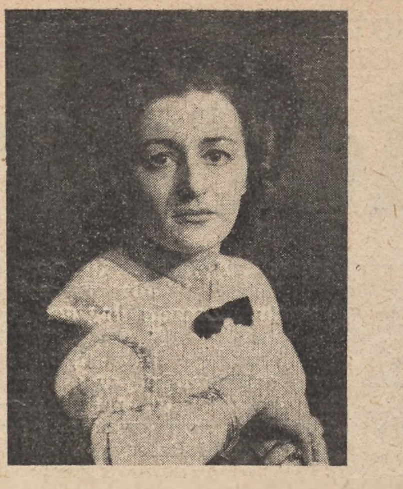
Krystyna Wydrzyńska jako Anna

Janusz Ziejewski jako Ryszard

Zbisław Pelc-Ichniowski jako porucznik Gestapa

Z twórczości plastyków szczecińskich

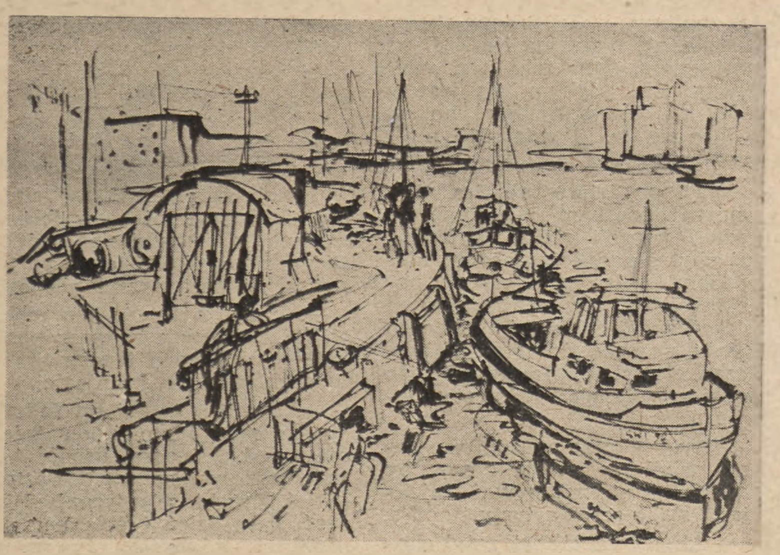
GUIDO RECK: Przystań żaglówek

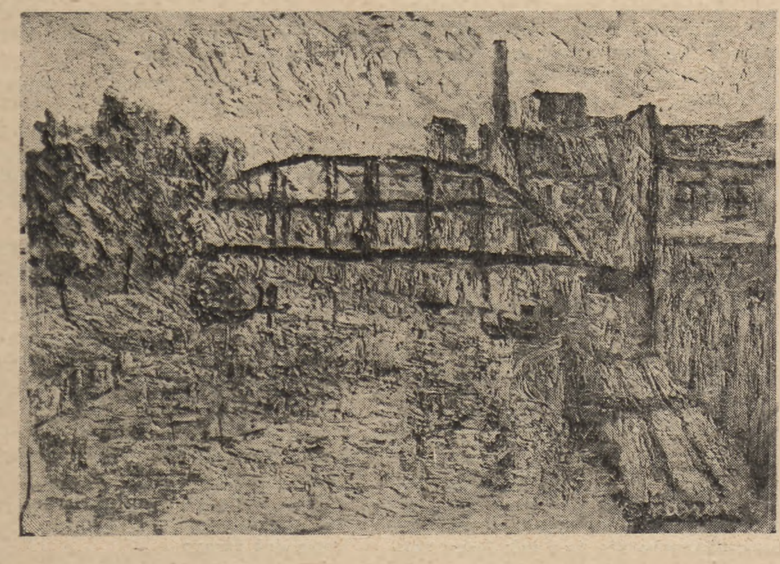
ZENON KONONOWICZ: Most na Odrze (olej)

Literatura polska w krajach...

(Dokończenie ze strony 3)

Gostyńskiego (1940). Dr **T. Holban przełożył „Chłopów" Reymonta,** wydany został też przekład (z francuskiego) **„Rodziny Połanieckich"** dokonany przez p. Jacobescu. Jeszcze w r. 1940 wydano też przekład nieznanej w kraju powieci **Bog. Kuczyńskiego** na temat wojny 1939.

Z historii literatury polskiej tak jak w Czechach Paprockim czy na Węgrzech Czahrowskim i w Rumunii interesowano się epizodami czy postaciami związanymi tak z literaturą polską jak i z literaturą kraju. Parę więc przyczynków poświęcono metropolicie mołdawskiemu z XVII wieku, który pisał i po polsku, **Dozyteuszowi.** St. Cioban w pracy „Versuri poloneze necuncocute in opera mitopolitului Moldovei Dozoftei" (odbitka z „Mélanges Drouhet", Bukareszt 1940) omówił parę nieznanych polskich utworów poetyckich Dozyteusza, a H. Oprisan w rozprawce „Precizari pe marginea exilului lui Dosoftei n Polonia" (w czasopiśmie „Arhiva" 1940) dorzucił parę szczegółów do dziejów pobytu na wygnaniu Dozyteusza w Polsce.

Po 1944 mogły się znów w większej ilości ukazywać przekłady z literatury polskiej, ukazały się więc nowe przekłady **Wasilewskiej,** szereg tłumaczeń dała p. Dusa Tzara, ale ta era polsko-rumuńskich związków literackich należy już raczej do epoki powojennej.

Jugosławia przed zaatakowaniem jej przez Niemcy żywą działalność na polu popularyzacji literatury polskiej oraz badania nad związkami literackimi polsko - jugosłowiańskimi mogła jeszcze prowadzić dość swobodnie. Zasłużony na polu popularyzacji literatury polskiej w Jugosławii J. Beneszić ogłosił w r. 1940 przekład **Wittlina „Soli ziemi",** w r. 1941 **Parandowskiego „Nieba w płomieniach".** Szereg prac o literaturze polskiej i jej związkach z jugosłowiańską dał młody badacz Dż. Živanović. Jeszcze w r. 1939 w referatach kongresu slawistów, (który miał się odbyć w Belgradzie we wrześniu 1939, i który został odwołany, ale tym niemniej referaty zjazdowe ukazały się drukiem jesienią 1939 roku), dał Živanowić mały szkic **„Mickiewicz a Njegosz",** poświęcony źródłom, z jakich czerpał Mickiewicz przy omówieniu twórczości Njegosza w swych wykładach paryskich. W r. 1940 tenże autor ogłosił małą broszurkę „Poljska književnost XIX veka kao izraz poljskog narodog duha" a w r. 1941, w przededniu najazdu hitlerowców, dużą pracę „Srbi i poljska književnost 1800—1871". W pracy tej Živanović bada szczegółowo **związki między literaturą polską a serbską od początku XIX wieku,** analizując wszystkie objawy znajomości spraw polskich czy literatury polskiej u Serbów, omawia szczegółowo kolejne fazy oddziaływania literatury polskiej na Serbów, ocenia przykłady, postacie tłumaczy itd. Praca Živanovića stanowi donośny przyczynek do dziejów wpływu literatury polskiej na literatury innych narodów słowiańskich.

W tymże tomie referatów zjazdu slawistów ogłosił Fr. Ileszić mały szkic o pierwszych przekładach Sienkiewicza w Jugosławii w latach 1880 — 1887.

Po zajęciu Jugosławii prace te były już trudniejsze. Ale nawet w ramach faszystowskiej Chorwacji potrafił J. Beneszić przemycić w swych pracach i utwory poświęcone literaturze polskiej. W r. 1943, w trzecim roku pawelicżowej Chorwacji, autor ten wydał w Zagrzebiu tomik szkiców pt. „Kritike i czlanci", będący zbiorem artykułów z rozmaitych pism. W zbiorku tym większa część szkiców poświęcona została literaturze polskiej a więc **Przybyszewskiemu, Żeromskiemu, Krasińskiemu, Sienkiewiczowi, Słowackiemu, „Chłopom" Reymonta, Kochanowskiemu, Brücknerowi, Wyspiańskiemu** i in. Beneszić przygotował też podczas wojny kilka przekładów, których przekład **„Lalki" Prusa** wydany został po wyzwoleniu w 1946 r.

Poza tym w wydawnictwach Macierzy Chorwackiej wydany został przekład **Prusa „Anielki"** w r. 1943.

Z **Bułgarii** nie posiadamy już tylu informacji, ale i tam w miarę możności kontynuowano prace nad literaturą polską. W księdze zbiorowej „Penczo Sławejkow — żywot i działalność" Sofia 1940, Malco Mikołow rozpatrując „Obce wpływy na twórczość Penczo Sławejkowa" szczegółowo omówił silny na niego **wpływ Mickiewicza.** Postać Mickiewicza budziła jak zawsze sporo w Bułgarii zainteresowań. Z okazji 85-letniej rocznicy jego zgonu w r. 1941 na łamach „Literaturen Glas" poświęcili mu artykuły V. Iwanov („85 lat od zgonu Mickiewicza") i St. Karakostew („Adam Mickiewicz u nas").

Widzimy więc, że mimo trudnych powojennych warunków, mimo nacisku politycznego kontynuowane były prace, poświęcone wpływowi kultury i ducha polskiego na narody Europy południowo-wschodniej. Dziś, kiedy wymiana kulturalna z tymi narodami jest swobodna, tym bardziej zasługuje na wspomnienie tamto stanowisko z czasów wojny, dowodzące nieśmiertelnych właściwości ducha polskiego.

Jan Reychman

Czy »dramat Hamleta polskiej inteligencji« ?

I

Sztuka Andrzeja Wydrzyńskiego jest próbą dialektycznej syntezy cech, problemów i konfliktów, właściwych inteligencko - mieszczańskiemu pokoleniu, które osiągało pełnię dojrzałości w okresie ostatnich lat przedwojennych i później podczas wojny, a więc pokolenie dziś trzydziestoletnie. Synteza taka wymaga szerokiej perspektywy zmieniających się warunków obiektywnych — historycznych, politycznych i społecznych w kolejnych różnych okresach minionych lat dziesięciu, wymaga również scalenia tych okresów w ciągłość obserwacyjną i problemową, co Wydrzyński osiągnął poprzez jedność akcji związaną z jednym środowiskiem.

Podejmując ambitnie trudne zadanie napisania sztuki dramatycznej według określonej wyżej koncepcji, autor posłużył się oryginalną formą wykorzystującą wzory filmowe. Akcja rozgrywająca się na scenie jest w dwu pierwszych aktach pasmem obrazów przesuwających się w świadomości skazańca w ciągu sekundy dzielącej go od śmierci.

II

W jakim stopniu udało się autorowi osiągnąć zamierzone cele?

Odtwarzając środowisko i warunki, w których wychowały się dzieci dygnitarza sanacyjnego — Edmund, Piotr i Anna, Wydrzyński nie ograniczył się do wydobycia mieszczańskiej mentalności w jej zróżnicowanych u poszczególnych członków rodziny Zboruckich rodzajach, lecz sięgnął głębiej, obnażając mechanizm rozkładu tego środowiska, starając się pokazać nie tylko jacy ci ludzie są, ale i dlaczego tacy są i jak głęboko sięgają korzenie swoistej mieszczańskiej „świadomości klasowej".

Znamy liczne procesy wytaczane w utworach dramatycznych rodzinie mieszczańskiej. W większości jednak wypadków są one całościami samymi dla siebie, rzadziej materiałem dla innej zasadniczej rozprawy, wyraźnie scharakteryzowanym tłem dla zarysowania pierwszoplanowego problemu. Czy to będzie „Bułyczew" Gorkiego, czy „Archipelag Lenoir" Salacrou, czy „Szklana Menażeria" Wiliamsa, czy „Inspektor" Priestleya — wszędzie zasadniczy punkt ciężkości dramatycznej spoczywa w środku zagadnienia „mieszczańskości" traktowanego fenomenologicznie w mniej lub więcej trafnie ujmowanych ogólnych aspektach społecznych. Wydrzyński natomiast dąży do umiejscowienia głównego akcentu nie na samym zjawisku „mieszczańskości", lecz — traktując je równorzędnie jako tło, jako grunt, z którego wyrasta zagadnienie, stara się zaakcentować i uwypuklić decydujący charakter psychicznej inercji klasowej, uniemożliwiającej przejście Edwarda na drugą stronę barykady, przejście od postawy „lekturowo" i „dyskusyjnie" reprezentowanego światopoglądu do postawy czynnego potwierdzenia tego światopoglądu.

Bo przecież pozornie rzecz biorąc „przepołowiony przez katechetę i Engelsa" Edward mógłby bardzo łatwo — wydaje się — przechylić szalę Engelsa. Uniemożliwia to jednak właśnie bezwład płynący z przynależności do środowiska, którego siła resorbcyjna jest wprawdzie równoważona światopoglądem Edwarda, ale nie zostaje przezwyciężona tak, by bez wahania ruszyć z rozstajów i podążyć drogą, jaką kroczy Ryszard. Stąd pesymistyczny indywidualizm Edwarda, stąd jego zawieszenie w próżni, stąd jego dramat „Hamleta polskiej inteligencji". Trzeba było dopiero wojny, klęski i wzniesionej przez gestapowskiego oprawcę strzykawki z fenolem, by zrozumieć w ciągu sekundy, że należało było nie tylko wybrać drogę, ale i na nią wkroczyć.

Wydaje się, że autorowi udało się w zasadzie przeprowadzenie swojej słusznej tezy i mimo szczególnych trudności jej dramatycznego sformułowania przeciętny widz potrafi dostrzec nie tylko intencję autora, ale też uchwyci istotę ukazanego „dramatu Hamleta polskiej inteligencji" jako głównego problemu sztuki.

III

Talent Wydrzyńskiego ujawnił się przede wszystkim w doskonale nakreślonym szkicu tła sztuki, jakim jest rodzina Zboruckich ukazana w mieszczańskim saloniku, nad którym patronuje z fotografii wiecznie zajęty w ministerstwie ojciec — i którego tak daleka jest droga do oddzielonej przedpokojem kuchni, gdzie państwu Zboruckim służy wyzyskiwana Józka.

Poprzez dialogi, sytuacje, dramatyczne spięcia, inteligentnie błyskotliwe skróty psychologiczne, pełne dobrej satyry ujęcia charakterystyczne — ukazał Wydrzyński atmosferę panującą w domu Zboruckich, poprawnie na ogół rozróżnił charaktery, sięgnął do „garderoby dusz". Jego znajomość anatomii organizmu mieszczańskiego była na ogół dobra i znalazła swoje odzwierciedlenie w scenicznie właściwie rozwiązanych partiach rozgrywających się w saloniku Zboruckich.

Już tym samym zdał Andrzej Wydrzyński swój egzamin debiutanta jako autor dramatyczny.

Pozytywna ocena sztuki Wydrzyńskiego nie pozwala jednak na przemilczenie zastrzeżeń, które nasuwają się przy analizie „Komedii". (Nb. uzasadnienie autora, że ten tytuł jego relacji dramatycznej ma charakter ironiczny jest o tyle — jak i sam tytuł — nieprzekonywające, że zasadnicze akcenty sztuki nie upoważniają do ironii, z którą kojarzy się raczej zbywająca obojętność, podczas, gdy w „Komedii" wielokrotnie odnajdujemy postawę autora nacechowaną nie ironią, chociażby nawet gorzką, lecz troską, pasją i żarliwością).

Zasadnicze zastrzeżenie dotyczy rysunku postaci Edwarda. Na tle świetnie uchwyconej atmosfery domu Zboruckich sylwetka Edwarda, a przez to i problemu wydaje się być za blada i rozwodniona. Niezależnie od ew. błędów reżysera i wykonawcy — o czym później — odnosi się wrażenie, że przyczyna tego stanu rzeczy tkwi w koncepcji formalnej autora. Może gdybyśmy nie widzieli Edwarda już na samym początku w jego ostatecznej lub bardzo jej bliskiej postaci psychicznej, lub gdybyśmy go nie znali jako równoczesnego narratora i komentatora wydarzeń i problemów zawartych w sztuce — wówczas wrażenie to by nie powstało.

Natomiast dwoistość Edwarda w czasie — przeszkadza nam skupić się na obserwacji jego konfliktów duchowych i samego problemu. Edward jest bądź co bądź tylko inteligenckim „mięczakiem", komunizuje ale nie jest komunistą, nie może znaleźć siebie samego a już chce wychowywać innych, obija się w przestrzeniach przyswajanego sobie światopoglądu, ale nie może przebić ścian mieszczańskiego saloniku. Taka sylwetka musi być tak samo wyraźnie zarysowana przed oczyma widzów, jek sylwetka Piotra — faszyzującego korporanta, zdecydowanego w swoim cynicznym wyznaniu kapitalistycznej wiary.

Tymczasem w oczach naszych rysuje się bardzo mglista postać Edwarda, ponieważ autor zmusza nas do równoczesnego obserwowania tej postaci przez podwójny pryzmat: Edwarda z domu Zboruckich i Edwarda „ex post" — syntetyzującego w przedśmiertnej sekundzie swój dramat. Zaszczepione w ten sposób Edwardowi II właściwości emocjonalnie dodatnio przechodzą również i na Edwarda I i oto powstaje pytanie, czy w ten sposób nie osłabiają one czujności osądu widza znajdującego się na tym procesie, który autor — jak sam pisze w komentarzu zamieszczonym w „Odrodzeniu" i „Wieczorach Teatralnych — wytoczył polskiemu Hamletowi.

Dlatego też wydaje się, że częste pojawianie się Edwarda „ex post" osłabia ostrość problemu, wprowadzając równocześnie niebezpieczny dla teatru moment przerostu publicystyki i werbalizmu zawartych w kwestiach wypowiadanych przez Edwarda z poza planu scenicznego. Równie zbędne wydają się komunikowane w tej formie charakterystyki i samocharakterystyki członków rodziny Zboruckich. Autor tak dobrze przeprowadza w ramach samej akcji tę charakterystykę, że dodatkowe informacje w innej formie raczej osłabiają i zaciemniają ukazany obraz. Teatr nie ma mówić o ludziach — ma ich pokazać.

Że źródło błędu tkwi w koncepcji formalnej, odczuwamy to w momencie kiedy Edward „wyskakuje" na bok proscenium, by poinformować publiczność skąd wie, co się działo podczas jego nieobecności w saloniku.

Nikt przecież nie prowadzi śledztwa w tej sprawie i nikt nie zamierza wszcząć dochodzenia co do prawdziwości „zeznań" Edwarda, tak samo jak nikt nie potępi sztuki dlatego, że pani Zborucka przegląda się w lustrze, w którym tego lustra niema, co jest widoczne dla publiczności. Dlatego też takie usprawiedliwianie fragmentu relacji nie przeżywanego osobiście przez Edwarda razi swoją infantylnością artystyczną, jak rażą utrzymane w tej samej formie przydługie sprawozdania z wydarzeń powszechnie znanych (historia wypadków wojennych, dzieje ewakuowanych więźniów z obozów koncentracyjnych itp.)

Forma retrospektywnego wskrzeszania przeszłych wydarzeń przez narratora biorącego udział w akcji dramatycznej zdała w niektórych sztukach swój egzamin (Szklana Menażeria), natomiast śmiały wprawdzie i nowatorski pomysł relacji udramatyzowanej na sposób filmowy jest o tyle niebezpieczny, że na filmie można ukazać najpierw cały materiał fabularny, a następnie we właściwym momencie — w tym wypadku w umownej sekundzie przed śmiercią — powtórzyć go raz jeszcze ukazując w kilku sekundach najbardziej charakterystyczne fragmenty w odpowiednim powiązaniu logicznym, odzwierciadlającym przeżycia psychiczne bohatera i skupiającym percepcję widza na istocie zagadnienia. Na scenie jest to niestety niemożliwe technicznie, zastosowane w formie użytej w „Komedii" oddziaływuje ujemnie na całość sztuki, jej zwartość i celność. Niewątpliwie wyłożone tu zastrzeżenie nie ma charakteru arbitralnego i może być przedmiotem dyskusji, nie mniej przeto nasuwa się ono kilkakrotnie podczas spektaklu

IV.

Jeszcze jedno zastrzeżenie, którego nie należy pominąć, to sylwetka Ryszarda. Postać ta ledwie naszkicowana wymagała poważniejszego opracowania. Jest to właściwie rzecz biorąc jedyna pozytywna postać. Słyszymy o Ryszardzie jako o bezkompromisowym działaczu lewicowym, natomiast ukazuje się nam postać w oświetlonej ramce, recytująca narzucone jej przez autora kwestie o zabarwieniu melodramatycznym. Słyszymy wiele o miłości do Anny, o cierpieniach sentymentalnych, naturalistyczno-romantyczne wyznania o zmiażdżonych na torturach wargach, którymi Ryszard pragnąłby szeptać imię ukochanej itp. Brak tej postaci życia, prawdziwości, porywającego rozmachu walki, rewolucyjnego optymizmu.

I jeszcze jedna uwaga: Płynące ze sceny przypomnienie okrucieństw hitlerowskich, poprzedzające bezpośrednio zakończenie sztuki — mimo, że spełnia zadanie jako „memento" wobec niebezpieczeństwa każdego faszyzmu, którego plenienie się ułatwia także i taka postawa jak Edwarda — przerzuca w ostatniej chwili akcent na inne zagadnienie, rozpraszając koncentrację widza w stosunku do głównego problemu.

V.

Armand Salacrou twierdzi, że „Dzieło dramatyczne jest produktem spotkanie się autora z publicznością".

Tematyka i oryginalność wartościowej sztuki Andrzeja Wydrzyńskiego zasługują na sprawdzenie tezy Salacrou również i drogą bezpośredniej dyskusji widzów z autorem. Wydaje się, że głosy publiczności ze spektakli zakupionych przez Związki Zawodowe, a więc tej publiczności, o którą nam najbardziej chodzi — byłyby bardzo cenne. Zorganizowanie takiej dyskusji nie nastręcza chyba trudności.

VI.

Przeznaczone początkowo obszerne miejsce na sprawę reżyserii i wykonania zmniejszyło się, w miarę pisania o samej sztuce do minimum.

„Komedia" Wydrzyńskiego nadawała się bardziej niż inne sztuki do skorzystania przez reżysera z metody intelektualizmu scenicznego jak Csato określa dążenie do obiektywnej prawdy przez analizę materiału dramatycznego. Bardzo potrzebny był tu czynnik świadomości — o czym pisał w jednym z artykułów Kreczmar „co się ma grać i jak się ma grać".

Niestety, mimo poprawności reżyserii **Jerzego Merunowicza** i widocznych prób w kierunku ustalenia jakiejś jednolitej koncepcji reżyserskiej w całości spektaklu wyczuwało się nierówności i wahania. Dało się to zauważyć przede wszystkim w ustawieniu sylwetki Edwarda odtwarzanej przez reżysera sztuki. Sylwetka ta mająca być soczewką skupiająca w sobie problem sztuki nie dominowała mimo zdarzających się ku temu możliwości (niezależnych od poprzednich zastrzeżeń co do rysunku postaci przez autora) a kiedy już wysuwała się na pierwszy plan (kwestia o „żołnierzykach", scena kłótni z Piotrem), to wykonawca sięgał do zbyt wysokich tonów ekspresji, co dawało wrażenie histeryzowania. Natomiast w kwestiach narracyjnych Jerzy Merunowicz dał przykład właściwie zastosowanego umiaru i trafności interpretacji tekstu.

Halina Cieszkowska jako Zborucka stworzyła sobie „wnętrze" tak doskonale oddane w grze, że podziw dla świetnej aktorki łączy się z podziwem dla jej instynktu dramatycznego, pozwalającego jej odkryć ciężar spoczywający na roli Janiny Zboruckiej.

Krystyna Wydrzyńska robiła początkowo wrażenie, jakby nie mogła odnaleźć swojej Anny i jakby jej brakowało „podtekstu". Napewno brakowało jej — ale nie z jej winy — kontaktu ze scenicznym narzeczonym Ryszardem. Później „weszła" w Annę i odnalazła się w akcji dramatu. Spośród wszystkich wykonawców wyróżniła się dykcją.

Rudolf Gołębiowski to dobry aktor, który ożywił postać Piotra i błysnął naturalnością szczególnie trafnie ujętej przez siebie sylwetki.

Obsadzenie w roli Ryszarda **Janusza Ziejewskiego** było błędem co nie umniejsza wartości aktorskich ukazanych przez Ziejewskiego w innych sztukach. Zbisław Pelc Ichniowski jako porucznik Gestapo bardzo poprawny i celny w interpretacji.

Na szczególne uznanie zasłużył **Kazimierz Lewicki** odpowiedzialny za światła które w tej sztuce grały wielokrotnie więcej niż w jakiejkolwiek innej.

Zenon Wiktorczyk.

TEATR ZIEMI OPOLSKIEJ NARESZCIE PO OTWARCIU

Teatr — nowy, z pięknie urządzoną widownią, **nareszcie otwarty.** Okres męczącej poniewierki, tułaczki po salach opolskich od Rady Miejskiej do Starostwa na ul. Mikołowską itd. — już skończony. Usiedliśmy na własnych śmieciach. Chociaż teatr pusty i zupełnie nieurządzony, wiemy, że każda inwestycja w naszym teatrze jest celowa, bo zostanie i nam będzie służyła.

Rzeczywiście był to wyjątkowo długi okres. Zabrał nam pół sezonu, wiele rzeczy uniemożliwił ale i do niektórych zachęcił. Gdyby bowiem nie ten okres „czekania na teatr", prawdopodobnie „Pan Drops" nie ujrzałby nigdy światła sceny. Urodził się z potrzeb chwili, zmontowany został w dosyć szybkich susach i w nadzwyczaj trudnych warunkach technicznych, a przecież jeżeli wierzyć opiniom, oczarował wszystkich bez wyjątku wdziękiem, humorem i prostotą.

Brak sali teatralnej, brak sceny, dał nam podnietę do obmyślenia i skonstruowania specjalnej przenośnej sceny, którą ustawić możemy wszędzie na zwykłej sali, a nawet w okresie letnim na rynku i stworzyć kompanię aktorską o rzeczywiście ludowym charakterze.

Tak się nieszczęśliwie złożyło, że nasze auto ciężarowe, konieczne do przewożenia dekoracji, odziedziczone po poprzedniej dyrekcji, wymagało generalnego remontu — remont ten przeprowadzano od połowy września. Nie mogliśmy się więc ruszyć z miejsca. Musieliśmy znosić nawet czasem dosyć bolesne przycinki na temat naszej nieobecności na prowincji opolskiej, a przecież nie mogliśmy przewalczyć samego faktu, że samochód kilkakrotnie odbierany i komisyjnie sprawdzany był z powrotem odsyłany do warsztatu, bo stanąć w drodze to jeszcze gorzej poderwać i tak już mocno zaszargane imię Teatru Ziemi Opolskiej.

Zdaje się, że teraz po otwarciu gmachu i ładniej los uśmiechnął się do naszego „Bedforda". Parę dni temu odbył próbną jazdę i mamy nadzieję, że będzie chodził. Toteż z dniem 1 marca poszło się w teren.

Doskonale rozumiemy, że wtedy dopiero jest spełnione zadanie tego teatru jeżeli dotrze do możliwie szerokich rzesz mieszkańców na Opolszczyźnie. Ale też zdajemy sobie sprawę że objazdy te natrafiają na takie trudności natury technicznej, jakie psują charakter widowiska; toteż tu na tym miejscu alarmujemy i opinię publiczną i miarodajne czynniki, że najpilniejsze potrzeby dla wzorowego teatru objazdowego są:

1. **opieka nad salami w terenie;**
2. **wyposażenie teatru objazdowego w odpowiednie wozy do przewożenia dekoracji i ludzi, wozy pod względem technicznym niezawodne;**
3. **zorganizowanie zespołów artystycznych, złożonych z dobrych fachowców.**

Te trzy postulaty wymagają nakładu pieniędzy i energii. Wiemy, z jakimi trudnościami musimy się porać; wiemy, że najpierwszą potrzebą jest usuwanie trudności gospodarczych, ale my pracownicy kultury musimy się starać, żeby i ta druga rzeczywistość była doceniona. Wiemy, że istnieje ona w skali państwowej — przykładem choćby Rok Mickiewiczowski i Chopinowski tylko żeby inicjatywa władz centralnych znalazła dobrych realizatorów w najdalszych zakątkach Rzplitej, tam bowiem, w tych cichych kątach jest największy głód przeżyć artystycznych. Chcielibyśmy na odcinku teatralnym, na tym odcinku, który może ze wszystkich sztuk jest najtrudniejszy jeżeli chodzi o przekazanie wizji (z natury swej konstrukcji) przekazać naszą wizję w takim stanie, w jakim tworzymy ją w naszej bazie. A tu właśnie wkracza technika i ona decyduje o tym, czy to się da tak zrobić, czy nie. I dlatego właśnie **zagadnienie teatru objazdowego, to zagadnienie techniczno-programowe.** Warunki techniczne muszą tutaj w pewnym sensie określić wybór repertuaru i nawet sposób jego realizacji.

Od tego trzeba zacząć.

Tadeusz Byrski

Krótkie spięcia

O dawnych czasach

Wprawdzie to już nieraz wykazywano, że mówienie o „dobrych dawnych czasach" nie ma wielkiego sensu, albowiem dawniej było zawsze gorzej — to jednak warto może jeszcze raz tę prawdę przypomnieć. Bo niby o „dobrych dawnych czasach" stale się mówi, tak jak zwykło się mówić, że czegoś nawet najstarsi ludzie nie pamiętają. A wiadomo, że najstarsi ludzie dlatego czegoś nie pamiętają, ponieważ notorycznie mają słabą pamięć. Tak samo więc jest z „dobrymi dawnymi czasami". Im dawniejsze, tym były na pewno gorsze.

Te rozważania mimowoli przychodzą człowiekowi do głowy, gdy zagłębia się — przypadkiem zresztą — w dzieje dawnego sądownictwa w Polsce. M. in. natrafia się więc w dziele p. t. „Księga sądowa gromad Państwa Śląskiego 1699—1757", wydanym jeszcze w r. 1921 w Krakowie przez Bol. Ulanowskiego na taki wyrok:

Dnia 13 stycznia 1699 r. wójt żywiecki Andrzej Komoniecki podpisał się pod dekretem sądowym w sprawie przeciwko niejakiemu Franciszkowi Kwaśnemu z Suchej:

> **„który, zostawając w stanie świętym małżeńskim, dopuszczał się z inszą cielesnego uczynku z Reginą Tysionką, z którym zrodziła dziatek dwoje".**

I na cóż został skazany Franciszek Kwaśny? Kwaśny został skazany — na śmierć przez ścięcie mieczem. Ni mniej ni więcej. Dopuścił się „uczynku cielesnego", więc mu ścięto głowę. Co się zaś tyczy współoskarżonej, owej Reginy Tysionkówny, to dekret opiewa, iż ją „zachowuje sąd przy zdrowiu", ale nakazuje ją wychłostać miotłami na środku wsi Krzeszowa oraz wypędzić z granic „Państwa Suskiego".

Okrucieństwo tego wyroku, zresztą wcale nie tak rzadkiego w owych czasach, polega jednak już nie tyle na ścięciu t. zw. cudzołóżcy oraz wychłostaniu i wypędzeniu t. zw. cudzołożnicy, co na zupełnym pominięciu sprawy — dzieci. Przecież z tego nielegalnego związku urodziło się dwoje dzieci i te dzieci gdzieś — zostały. Ojca zabito, matkę wypędzono, a co z dziećmi...? Dekret sądowy na ten temat zupełnie milczy. Cóż, dzieci... Dzieci, jako nieślubne, w ogóle nie wchodziły w rachubę, aby nimi się ktoś zajmował. Los psich szczeniąt pewnie bardziej by kogoś obchodził, niż los „bękartów".

Ktoś na to może powiedzieć: — No cóż, prawa były surowe, inaczej na tego rodzaju historie wówczas się zapatrywano, więc trudno...

Otóż właśnie, że wcale nie trudno. Prawa były surowe, ale tylko wobec biednych. Cóż taki chłop pańszczyźniany, jak Franciszek Kwaśny i taka „poddana", jak owa nieszczęsna Regina, znaczyli w oczach sędziów? Tyle, co nic. Na takich można było sobie użyć, ile tylko wlazło, a nawet okazać pewną cyniczną „łaskę", że się Reginę „zachowuje przy zdrowiu".

Ale gdyby tych dwoje było szlachtą, a do tego jeszcze szlachtą możną, to naturalnie włos by im z głowy nie spadł, żeby nie wiedzieć jakich dopuszczali się „cielesnych uczynków". A wiemy doskonale, że surowością obyczajów ówczesna szlachta epoki saskiej wcale się nie odznaczała. Raczej wprost przeciwnie. Hulano, bawiono się i płodzono nieślubne dzieci, można by nawet powiedzieć masowo, idąc zresztą za przykładem panujących.

Ale gdy dwoje „poddanych" nielegalnie się pokochało, to już wtedy katowski miecz zwisał nad ich głowami.

Właśnie więc na tym polegały te surowe prawa. Istniały one tylko dla biednych i tylko dla maluczkich, a możni mogli sobie z nich bimbać.

Tak, nie były to dobre te dawne czasy, a i późniejsze też nie były specjalnie lepsze.

W każdym razie dobrze, że one już minęły.

Takie to melancholijne rozważania wywołuje czytanie dawnych ksiąg. *NIEJAKI X.*

„Zemsta" w Bielsku

Scena zbiorowa z IV aktu

Bronisław Kassowski (Papkin)

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik. Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.
R 019546